



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

KWIECIEŃ-MAJ-CZERWIEC'90 /3/

MIESIĘCZNIK TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA • WROCŁAW



SEMPER FIDELIS

ADAM WIERCIŃSKI	
Renesans lwowski	1
JERZY MASIOR	
Wiersze	3
MIECZYŚLAW RYSZARD FILIPCZAK	
Odznaki Obrońców Lwowa 1—22 XI 1918 r.	4
STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA	
Dzieje budowy i unicestwienia cmentarza Obrońców Lwowa	6
WŁADYSŁAW ŻOŁNOWSKI	
Ogniem i karabinem	12
TADEUSZ MYCZKOWSKI	
Wielkanoc Stanisławy Klimkowskiej-Bieńkowskiej	19
EDWARD GIL	
Klęknąłem całując umęczoną Ziemię Lwowską	21
JERZY JANICKI	
Listy do Lwowa	24
JAN ZIEMBICKI	
Stanowisko w sprawie odszkodowań	26
Problematyka lwowska i kresów południowo-wschodnich w prasie polskiej	28
Z życia oddziałów i klubów TML	30

REDAGUJE ZESPÓŁ W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chłipalski, Jan Iwaszko — redaktor techniczny, Jerzy Janicki, Wiesława Jeleńska-Hombek — sekretarz redakcji, zastępca redaktora naczelnego, Danuta Kotowicz, Lech Mrozek — opracowanie graficzne, Tadeusz Myczkowski, Danuta Nespiak, Stanisław Nicieja, Zdzisław Ojrzynski, Andrzej Pankowicz — przewodniczący kolegium, Henryk Staniuk — redaktor naczelny, Irena Zaucha — sekretariat redakcji

ADRES REDAKCJI: 50-434 Wrocław, ul. Prądyńskiego 14/16, telefon 44 63 72, telex 0712399

ADRES DO KORESPONDENCJI: 50-950 Wrocław BOX 902

WYDAWCA: Wielobranżowe Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe „Presstrust”, 50-434 Wrocław, ul. Prądyńskiego 14/16

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Fotografie w numerze: Archiwum, M. Trzeciakowski, Z. J. Zieliński

I s. okł. — Wnętrze Katedry rzymsko-katolickiej we Lwowie (fot. Marek Trzeciakowski)

IV s. okł. — Kopuła wieży kaplicy Boimów (fot. Marek Trzeciakowski)

Renesans lwowski*

Przyszły historyk kultury będzie pewnie zdziwiony, kiedy odkryje, że po tylu latach milczenia, kiedy nawet nazwa miasta zawsze wiernego Rzeczypospolitej, jednego z piękniejszych miast w tej części Europy, budziła niepokój cenzorów (we wspomnieniach lwowskich Jana Parandowskiego miasto nie mogło być... nazwane!), pod koniec lat osiemdziesiątych nagle tyle Lwowa w prasie, we wspomnieniach mówionych i drukowanych, w kabarecie i pracach naukowych; ożył Lwi Gród w pieśni, w anegdocie, tyle powstało kół towarzystw miłośników grodu nad Pełtwią, tyle odbyło się spotkań, wykładów, wystaw, wieczorów wspomnień...

Zjawisko to budzi wśród części kulturalnej publiczności — obok sympatii i radości z odkrycia — wiele różnych emocji, ostrożniejsi pytają, czy to nie rewizjonizm znany skądinąd, inni, wywodzący się z krain nie tak pięknych i nie tak często wydających geniuszy, powodowani ludzką zawiścią, podejrzewają lwowian o megalomanię, niektórzy Ukraińcy (a są wśród nich przedstawiciele różnych orientacji, nie tylko nie chcieliby niczego oddawać, ale chętnie przygarnęliby to i owo; Przemyśl, Chełm, Zamość widzieliby radzi u siebie) patrzą na lwowski renesans w Polsce z niechęcią i niepokojem, nie wierzą, że Lach bez Lwowa może się obejść i platoniczną miłością się kontentować.

Zainteresowanie Lwowem i innymi nie bardzo podłymi miastami, o których rzadko wspomniano ostatnio (polscy historycy krajowi pisali o sprawiedliwości dziejowej, ukraińscy o 600-letniej polskiej i austriackiej okupacji!), nie wynika wcale tylko z nostalgii niegdysiejszych ich mieszkańców, smakujących raz jeszcze dzieciństwo, rozkochanych w swojej lwowskiej młodości, wspominających z rozrzuśnieniem to, co pierwsze: smak rachatlukum, melodię podmiejskiego walczyka, dzwon kościelny, śpiew cerkiewny, spacer ulicą Legionów i Akademicką, widok z Wysokiego Zamku i spod katedry Św. Jura, nawoływanie żydowskiego kupca, śpiew w katedrze ormiańskiej, radosny śmiech czarnookich dziewcząt pod szkołą Sienkiewicza, przepiękną, tak bogatą i różną polszczyznę, ciepły i dobry (nie wolny od cholery i batiarskiej fantazji) typ ludzki.

Zainteresowanie Lwowem świadczy jeszcze o czymś innym, o wiele ważniejszym od tęsknoty dawnych lwowian do pięknego, opromienionego sławą miejsca na ziemi. Te ludzkie tęsknoty są zrozumiałe, nie można przecież żyć bez pamięci. A tak starano się, z taką zawziętością, pozbawić tylu ludzi pamięci właśnie, by nie miała się czego ucześć. Dopiero niedawno, z poważnej pracy naukowej, dowiedziałem się, że przesiedleńcom ze wschodnich województw II Rzeczypospolitej,

expatriantom, nazywanym niesłusznie repatriantami, nie wolno było zabierać z sobą fotografii (tylko osobiste), jakże to by pasowało do książek Orwella. To dlatego dziadkowie i rodzice moich szkolnych kolegów nie pokazywali zdjęć, tylko opowiadali ciągle, ze szczegółami, tyle razy o Lwowie, Radziechowie, Buczaczu, Zbarażu, Borszczowie, jak płynie Pełtew, Styr, Zbrucz, Dniestr; sprawdzali, czy wnuk zapamiętał, że nim się doszło do lwowskiego dworca, miało się kościół Św. Elżbiety, jaki obraz wisiał w katedrze łacińskiej, czyje groby znajdowały się na cmentarzu Łyczakowskim, a czyje na Janowskim.

Pamięć żywą wspomagała literatura. Andrzej Kuśniewicz, Andrzej Stojowski, Julian Strykowski, Jan Adamski, Leopold Buczkowski, Zygmunt Haupt, Andrzej Chciuk, Stanisław Vincenz ocalali tamtejsze krajobrazy, tamtych ludzi, tamten język, tamten czas. Pisał Zbigniew Herbert: „Jest to ojczyzna jabłek, pagórków, leniwych rzek, cierpkiego wina i miłości. Niestety, wielki pajak rozsnuł na nim [kraju] swą sieć i lepką śliną zamknął rogatki marzenia”. Adam Zagajewski pytał: „dlaczego każde miasto [musi stać się Jerolimem] i każdy człowiek Żydem...”

Powroty do miejsc utraconych, do tylu polskich Jerolimów świadczą jeszcze o czymś innym. To społeczność, nie licząc na instytucje do tego powołane, upomina się o swoje WCZORAJ, to prawdziwe, nie okrojone do celów doraźnych; upomina się o WCZORAJ i wartości, które na nieszczęście dla wyznawców „jedynie słusznych” koncepcji geopolitycznych, rodziły się — jak na złość — nie nad rzekami ulubionymi przez historyków ostatniego półwiecza, ale ciągle nad Pełtwią, Dniestrem, Gniłą Lipą, Czeremoszem, Styrem, Horyniem, Ikwią, Prypecią, Niemnem, Wilią, Niewiażą, Dżisną, Szczarą, Solczą, i kto by tam spamiętał wszystkie nazwy domowych i rodzinnych rzek; o niektórych z nich tak pięknie i wzruszająco pisał jeden z ostatnich Polaków jagiellońskich — Jerzy Stempowski. To społeczność (choć tak rozbijana ciągle, dzielona, składająca się jednak nie tylko z przesiedleńców, wygnańców, uciekinierów, uchodźców, przyjeżdżających na ziemię Piastów spod Lwowa przez Syktywkar, Archangielsk, Kołymę, Peczerę, Semipalatyńsk, Barnaui) upomina się o swoją prawdę, o prawo do spadku, nie do wyłącznego prawa, o szacunek dla kultury materialnej, jaką stworzyła dawna Rzeczpospolita, o szacunek i zrozumienie dla rodaków, którzy tam z różnych przyczyn pozostali, pamięć dla grobów, którym czas i wandal zagraża, świątyń zamienianych w magazyny i składy przez tyle lat, książek tam zostawionych nie z własnej woli (we Lwowie w jednym z nieczynnych kościołów, pod dziurawym dachem, poniewiera się kilkaset tysięcy tomów).

I wraca do pamięci zbiorowej miasto... Pięknie położone, wśród wzgórz — natura pomagała architekturze dawnym piąć się wyżej; miasto zamieszkałe kiedyś przez wyznawców tyłu religii, przedstawicieli tyłu narodów. Miasto, które i w naszym wieku poznało pewnie wszystkie możliwe błogosławieństwa i przekleństwa kresowości. Pogranicze kultur, języków i wyznań, krain geograficznych, klimatów i dorzeczy; pokazywano niegdyś jako ciekawostkę lokalną budynek we Lwowie: krople deszczu spływające z jednej strony dachu zasilały Bałtyk, z drugiej — Morze Czarne. Stamtąd było tak blisko do Europy, tam było tyle możliwości. Twierdził Stanisław Vincenz: „Myśli się jakoś, że istnieją regiony, kraje i miasta, które spełniają «zadanie» zbawienne, kiedy zbliżają, łączą, a zawodzą i marnują, kiedy dzielą i różnią. Tak jak Marche, tak jak niegdyś Lwów. Czy to może ma być wyjaśnienie starego zawołania: «Leopolis semper fidelis», to jest wierny sobie i temu, co ludzkie, co łączy? [...] W moim przekonaniu wierność ludzka Lwowa polegała na tym, że w małym i w wielkim łączył, zbliżał i jednoczył”.

Przez tyle lat wmawiano kolejnym rocznikom dobrodziejstwo powojennego kształtu terytorialnego państwa, rozkliwiano się nad jednorodnym niemal składem narodowościowym... i nagle okazuje się, że niewiele z tego wynika; odzyskani rodacy nie przystali w pełni do polskości, oduczono się żyć wśród innych, przemiany społeczne i gospodarcze, po których spodziewano się nie wiedzieć czego, nie doprowadziły tam, dokąd zawieść miały, wyjałowiona została prowincja, coraz dalej nam do innych. A mnie ciągle zdumiewa i wzrusza fakt, że dawny Lwów (w 1931 roku mieszkało w nim 198,2 tys. ludzi mówiących po polsku), po okupacjach, wywózkach i zbrodniach tyłu, dokonanych w tak krótkim czasie, zdołał po wojnie obdzielić Wrocław, Warszawę, Bytom, Gliwice, Opole tak pięknymi ludźmi, skąd ich tyłu, o takim kalibrze umysłowym, jakie siły tajemne działały na tamtym skrawku ziemi? Pamiętam i o tych, którym przyszło wspominać Lwów nad Sekwaną, Tamizą (o tamtejszym Kole Lwówian) i za Wielką Wodą. „Lwów jest wszędzie” — zapewnia Adam Zagajewski.

Ziemie Czerwieńską nazwał kiedyś Władysław Konopczyński krajem „najpłodniejszego rozmachu twórczości literackiej”, tego rozmachu nie brakowało i w innych dziedzinach, którymi się opiekowały Muzy łagodne; ileż uczelni w Polsce

powojennej uświetnili profesorowie Uniwersytetu Jana Kazimierza i Politechniki Lwowskiej.

Powroty do Lwowa są niekiedy traktowane jako ucieczka od DZIŚ, po części to może i prawda, mnie jednak kojarzy się lwowski renesans przede wszystkim z gestem znanym z mitu o Anteuszu. Bez takich powrotów do „wczoraj”, bez kolorów i zapachów, jałowe i puste bywa „dziś”.

Adam Wierciński

* Skrócona wersja tego tekstu została opublikowana na łamach „Nowin Opolskich” (nr 2 z XI 1989 r.) pod tytułem *Dłaczego Lwów?*

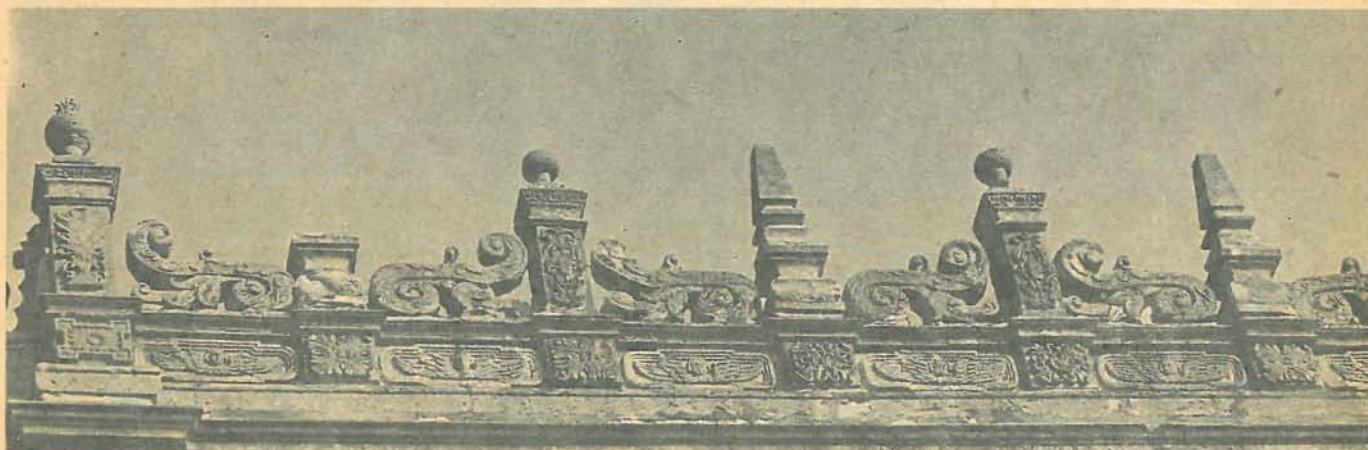
PS. Dołączam rymowaną złożeń z nazwisk pisarzy polskich wywodzących się zza Sanu (dał przykład, przyznaję, Adolf Nowaczyński; w Wiośnie narodów nazwiskami mieszczan krakowskich tak się bawił); rzecz przypisuję angielskiej polonistce zajmującej się m.in. literaturą polską ocalającą pamięć o obrzeżach dawnej Rzeczypospolitej.

SCRIPTORES DE ROXOLANIAE

Pani Ninie Taylor — z podziwem, że tak świetnie rozumie i czuje naszą kulturę. Jej tak blisko znad Tamizy do Wisły, Wilii i Czeremoszu...

Adamski, Brzoza, Bieszczadowski, Badecki, Brückner, dwaj Buczkowscy, Baczyński senior i Bielowski, Dunin Borkowski i Broszkiewicz, Jacek Bocheński, Chciuk i Chudy, Czerwieński, Kornel Filipowicz, Fredrowie czterej, Fiderkiewicz, Feldman, Grabiński, Gawalewicz, Gerhard, Gruszecki, Gubrynowicz, Herbert i Hemar, Haupt, Horzyca, Jachowicz, Jastrun, Jachimowicz, Kaczkowski, Kleiner, Korzeniowski, Anna Kowalska i Karpiński, Koszutski, Kaziów i Krasicki, Kuśniewicz, Zbigniew Kubikowski, Krzeczkowski, Lamów dwóch i Loeb, Lovell, Lutowski, Lec i Lem. Łozińscy, Jacek Łukasiewicz, Mochnacki, Kornel Makuszyński, Najwer i Orski, Obertyńska, Ortwin, Stanisław Orzechowski, Dwóch Pasternaków, Porębowicz, Jan Parandowski, Piramowicz, Pankowski, Panas, Rej i Rittner, Słowacki ojciec, Schulz, Sandauer, Safrin, Stojowski i Srokowski, Staffowie dwaj i Sobotkiewicz, Sliwiak, Strykowski i Szajnocha, Szarzyński Sęp i Szymonowicz, Trziszka, Ujejski i Jan Wyka, Wittlin, Wierzyński, Wasylewski, Vincenz, Zahradnik, Zagajewski, Zimorowice, Zurakowski.

A.W.



Jerzy Masior urodził się w Chodorowie 7 II 1924 r. W 1939 roku ukończył III klasę gimnazjum im. Karola Szajnochy we Lwowie. Mieszkał we Lwowie przy ul. Leśnej 16 do sierpnia 1944 r. Po wybuchu wojny, będąc drużynowym 40 Drużyny Harcerskiej, podjął służbę pomocniczą na dworcu Zamarstynowskim, a następnie razem ze swą drużyną pomagał w zabezpieczaniu zbiorów Ossolineum. W czasie likwidacji kaplicy sióstr Nazaretanek przy ul. Unii Lubelskiej we Lwowie wyniósł i uratował tabernakulum z głównego ołtarza. Pracując w szpitalach niemieckich wojskowych, od 1942 r. związany był z kontrwywiadem AK; zajmował się m.in. przechwytywaniem broni. W 1944 r. złożył maturę na kompletach tajnego nauczania prowadzonych przez prof. Nikliborca. Brał udział w akcji „Burza”, wywieszając flagę polską na lwowskim ratuszu (J. Węgierski, *W lwowskiej Armii Krajowej*, 1989, s. 227). Od sierpnia 1944 r. służył w Wojsku Polskim (4 DP — za zdobycie Kołobrzegu odznaczony został Krzyżem Walecznych).

W 1952 r. ukończył studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu i Akademii Medycznej we Wrocławiu. W latach 1952—1962 pracował w III Klinice Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej we Wrocławiu, następnie do 1967 r. w Gorlicach, a od tej pory w Nowym Sączu. Jest komandorem jachtklubu PTTK, prezesem-założycielem TML w Nowym Sączu. Jego dorobek artystyczny obejmuje pięć tomików poetyckich, kilkadziesiąt wierszy publikowanych w prasie, a także kilkanaście wystaw malarskich (akwarele: pejzaż sądecki i Lwów).

JERZY MASIOR

Witoldowi Szolgini — na Wielkanoc

Ile to przez Corso panien falowało,
Ile tam batiarni co wieczór biegało,
Ile z Kajzerwaldu widoków prześlicznych,
Ile mesztów zdartych w debrach okolicznych.

Ile na Pasiekach nieba kikowania,
Ile na Strzelnicę na hinter skikania,
Ile na Legionów dzwonków tramwajowych,
Ile tam... za wzgórzem krzyży, co dla Lwowa!

Ile miszkulancji u mamy, na święta,
Ile gwiazd nad Miastem — tyle zapamiętaj,
Tyle Alleluja życzy Wesołego
Batiar z drugiej Budy, z placu Antuniego.

Lwów — Wielkanoc

Milczą na wzgórzu Karmelici,
Od Magdaleny cisza spływa —
Dominikanie, Bernardyni,
Gdzie wasze dzwony, kto Go wzywa?

Nazareńczyka któż rozpozna,
Gdzie nazwy ulic pozmieniano.
Idzie w kaszkiecie z sercem w bólu
Po swą milczącą tam Wielkanoc.

Z żerdzią kieratu, jak w zaprzęgu
Porzucił przecież stos dostojęństw
I chodzi ulicami Miasta,
Którego tamci nie chcą pojąć.

Idzie przez Miasto zwyciężony,
Z ran już nie sący, utknął w cieniu,
Na Kapitulnym głaz unosi,
Tam resurexit, choć w milczeniu.

Milczą na wzgórzu Karmelici
I my milczymy nieproszeni.
I ustawiamy nasz mur płaczu
Pod własnym niebem pogubieni.

ODZNAKI OBROŃCÓW LWOWA 1—22 XI 1918 r. (c.d.)

ODZNAKA ODCINKA PIERWSZEGO

Krzyż o kształcie krzyża rycerskiego, z tarczą herbową miasta Lwowa w środku, tło krzyża groszkowane. Napis na ramieniu górnym krzyża I. ODC., na dolnym data 1918. Na lewym ramieniu poziomym data 1—22, na prawym ramieniu napis LISTOPAD. Ramiona krzyża owinięte zwisającym zerwanym łańcuchem przechodzącym pod tarczą herbową. Kąty między ramionami wypełnione po naroża krzyża festonami liści wawrzynu, nadającymi odznace formę kwadratu. Podstawa ramienia górnego przechodzi w uszko z podłużnym ogniwnem, przez które przeciągnięta jest wstążka o barwie miasta, niebieska z czerwonymi paskami na brzegach.

Odznakę noszono na wstążce na szyi (dokumenty fotograficzne). Rewers gładki z tłokiem E.M. Unger Lwów. Krzyż projektował J. Meleta. Wykonany w pracowni cyzelsko-grawerskiej E.M. Ungera we Lwowie. Tłoczony w metalu białym, srebrzony, oksydowany, o wymiarach 46×46 mm.

Dowództwo I Odcinka: Dom Techników — Seminarium, komendant Ludwik Wasilewski; komendant I Odcinka kpt. dr Bolesław Bujalski. Pododcinki: Wulka — komendant por. Świtalski, Remiza tramwajowa — Cytadela — komendant Bernard Mond, Szkoła Kadecka — komendant Adam Brenikowski.

W linii bojowej walczyło 818 żołnierzy, poległo 66 obrońców.



ODZNAKA ODCINKA „CYTADELA”

Odznaka o kształcie okrągłym, lekko wypukła. Na tle lekko zarysowanego widoku Lwowa z lewej strony odznaki żołnierz na posterunku w hełmie, z karabinem na ramieniu i bagnetem na pasie. Z prawej strony odznaki na wzgórzu porośniętym świerkami bastiony Cytadeli. W górnej części wypukły napis w dwu wierszach CYTADELA 1—21.XI.1918.

Rewers gładki, słupek śruby o gwincie angielskim i nakrętka lub agrafka.

Odznaka wykonana w pracowni cyzelsko-grawerskiej E.M. Ungera we Lwowie. Tłoczona w szarym metalu, srebrzona, oksydowana, o średnicy 42 mm.

Komendant Pododcinka Cytadeli por. Bernard Mond i komendantka żeńskiego oddziału POW Helena Bujwid-Trzebińska.

W linii bojowej znajdowało się 154 żołnierzy, poległo 16 obrońców.



ODZNAKA ODCINKA DRUGIEGO

Na ośmioramiennej promienistej złożonej gwiazdzie krzyż o kształcie krzyża rycerskiego z orłem państwowym pośrodku. Ramiona oplata wstęga przechodząca pod bocznymi ramionami krzyża. Na wstędze napisy: nad orłem napis II ODCINEK, pod orłem na taśmie napis SZKOŁA M. MAGDALENY, zwisające końce wstęgi między ramionami krzyża wypełnione z lewej strony datą 1—22/XI, z prawej — datą 1918. Na górnym ramieniu gwiazdy uszko z podłużnym ogniwnem.

Odznakę noszono na wstążce amarantowej. Projektował ją Włodzimierz Perucki. Wykonana została w pracowni cyzelsko-grawerskiej E.M. Ungera we Lwowie. Tłoczona, srebrzona i złożona, oksydowana, o wym. 46×46 mm.

Dowództwo II Odcinka: Szkoła Marii Magdaleny, ul. Leona Sapiehy. Komendant II Odcinka kpt. Adam Świeżewski.

W linii bojowej walczyło 394 żołnierzy, poległo 54. Odcinek składał się w większości z druhów Sokoła Macierzy.



ODZNAKA ODCINKA TRZECIEGO Z MIECZAMI

Odznaka o kształcie krzyża greckiego, z ramionami o ściętych narożach. Pośrodku szerokiego krzyża orzeł w locie z rozpostartymi skrzydłami, wychodzącymi poza górne ramiona krzyża. Pod orłem na wysokości piersi dwie skrzyżowane szable. Na pogłębionej płaszczyźnie krzyża, na powierzchni ramion wypukłe napisy: na górnym ramieniu ODC. III 1—22/XI 1918, na ramieniu dolnym UL. BEMA. Na ramionach poprzecznych z lewej strony GÓRA STR., z prawej DYR. KOL. Górne ramie krzyża zakończone jest podłużnym gniazdkiem, przez które przewlekano czarną wstążkę. Odznaka była noszona na kurtce mundurowej w taki sposób, że wstążka przewlekana była przez drugą dziurkę na guzik od góry (dokumenty fotograficzne). Rewers krzyża gładki, z wybitym numerem.

Odznakę projektował kpt. Roman Rogoziński. Lana w białym lub żółtym metalu, oksydowana, o wym. 45×45 mm.



ODZNAKA ODCINKA TRZECIEGO BEZ MIECZY

Odznaka różni się brakiem szabel pod orłem. Takie odznaki nadawano za służbą pozafrontową. Dowództwo III Odcinka: Szkoła Konarskiego, ul. Leona Sapiehy. Komendant — rotmistrz Michał Pomian-Cieński. Pododdzinki: Dyrekcja Kolejowa, Góra Stracenia, ul. Bema. W linii bojowej 839 żołnierzy, poległo 78 obrońców. Dowódca III Odcinka — mjr Michał Pomian-Cieński. Komendant Góry Stracenia — rotmistrz dr Roman Abraham, bohaterski dowódca oddziału Straceńców. Komendant sektora Bema — por. Jerzy Schwarzenberg — Czarny. Komendant placówki Bema — ppor. Wojciech Kołakowski. W linii bojowej walczyło 839 żołnierzy. W sektorze Bema: 10 oficerów, 80 podoficerów, 15 chorążych, 276 szeregowych. Według zweryfikowanego wykazu obrońców Lwowa poległo 19 żołnierzy z Odcinka III — Bema (jednodniówka, Lwów 1936).



KONKURS • KONKURS • KONKURS •

Wschodnie piętno najnowszej historii Polski

Archiwum Wschodnie, Związek Sybiraków, Stowarzyszenie Żołnierzy AK oraz Polskie Towarzystwo Historyczne ogłaszają szeroki konkurs historyczny obejmujący świadectwa związane z pobytami obywateli polskich w ZSRR i pod okupacją radziecką.

Materiały konkursowe będą zbierane do końca 1990 roku. Wyniki zostaną ogłoszone w marcu 1991 roku. Jury przyzna nagrody główne (każda w wysokości rewaloryzowanej — 2 mln zł) oraz wyróżnienia w następujących kategoriach:

- 1) dziennik,
- 2) wspomnienia,
- 3) opracowanie monograficzne,
- 4) zbiór fotografii ze szczegółowymi opisami.

Zastrzega się prawo jury do innego podziału nagród. Prace nie nagrodzone na innych konkursach, nie publikowane, których autorzy zachowują pełnię praw autorskich, winny być podpisane imieniem i nazwiskiem oraz opatrzone adresem i telefonem. Objętość prac dowolna, wskazane dwa egzemplarze maszynopisu. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do zatrzymania wszystkich

(ewentualnie poza zdjęciami) prac w zbiorach Archiwum Wschodniego, gdzie zostaną zabezpieczone i skatalogowane.

Autorom najciekawszych prac zostaną złożone oferty druku w powstających seriach wydawniczych:

- Biblioteczka Wschodniej — serii autorskich wspomnień, antologii i monografii, tworzonej przez zespół Archiwum Wschodniego,
- wydawniczych Stowarzyszeń Żołnierzy AK i Związku Sybiraków oraz na łamach czasopism współpracujących z organizatorami konkursu.

Wszystkie prace należy nadsyłać na ręce sekretarza Komisji Historii Najnowszej PTH, dra Andrzeja Krawczyka, komisarza konkursu (Instytut Historii PAN, Rynek Starego Miasta 29/31, 00-272 Warszawa), Andrzej Ajnenkiel — prezes PTH, Wojciech Borzobohaty — prezes SZAK, Zbigniew Gluza — kierownik AW, Janusz Przewłocki — wiceprezes ZS, przewodniczący KH ZS.

We Wrocławiu telefon 44-77-43 i 67-36-22 we wtorki w godz. 10—12 i piątki w godz. 18—21, w Jeleniej Górze telefon 42-145, dni przyjęć jak wyżej, w Legnicy telefon 61-700, dni przyjęć jak wyżej.

Adres do korespondencji: Krzysztof Turkowski, 53-520 Wrocław, ul. Zaporoska 26/7.



STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

Dzieje budowy i unicestwienia cmentarza Obrońców Lwowa. Część I

(Fragment przygotowanej do druku książki)

Po trzytygodniowych listopadowych bojach 1918 roku okaleczone i częściowo jeszcze obleżone miasto stopniowo zaczynało wracać do normalnego życia. Obok wypalonych i podziurawionych pociskami elewacji budynków najbardziej widowymi pozostałościami niedawnych walk były małe cmentarzyki i pojedyncze mogiłki z drewnianymi krzyżami, przy których gromadzili się ludzie modlący się, palący znicze, świeczki, składający kwiaty. Najliczniejsze skupiska grobów znajdowały się przy szkole Sienkiewicza, w parku Jezuickim i Stryjskim, w ogrodzie przed Politechniką oraz przy Szkole Kadeckiej.

Już w pierwszych dniach grudnia 1918 roku zrodziła się idea założenia osobnego cmentarza lub kwatery na Łyczakowie dla poległych w bojach o miasto. Idea ta nawiązywała do uświęconej dziesięcioleciami tradycji lwowskiej — były wszak na cmentarzu Łyczakowskim otaczane szczególnym kultem zwarte kwatery powstańców listopadowych z 1830 i styczniowych z 1863 roku. Na obrzeżach miasta przez pierwsze miesiące 1919 r. toczyły się boje, a liczba poległych ciągle rosła. Nie można więc było ograniczyć się tylko do kwatery na cmentarzu Łyczakowskim bądź Janowskim, lecz należało stworzyć osobną nekropolię o odpowiednio rozległej przestrzeni. Zarząd miasta pod przewodnictwem prezydenta Józefa Neumanna zdecydował się ostatecznie wydzielić część gruntów, które wykupił od sióstr Benedyktynek ormiańskich, a które stanowiły przedłużenie cmentarza Łyczakowskiego na pochyłym zboczach schodzącym uskokami w kierunku Pohulanki. Czy zdawano sobie wówczas sprawę, że będzie to nekropolia niezwykle ważna i w bogatej historii Lwowa zajmie wyjątkowo ważne miejsce? Wybór werpewatego zbocza zdaje się zaprzeczać takiej hipotezie.

W dniach 18—22 IV 1919 r. odbyła się likwidacja cmentarzyka w ogrodzie Politechniki¹. Ekshumację i przewiezenie zwłok na Łyczaków przeprowadził zarząd szpitala przy współudziale wojskowego pogotowia pogrzebowego. Nowo tworzony cmentarz Orląt na peryferiach Lwowa zapełniał się szybko i w miarę jego rozrostu zaczęły pojawiać się nieprzewidziane trudności. Przede wszystkim teren okazał się w górnej części piaszczysty, a w dolnych partiach przechodził w litą skałę. Kilkuset mogiłom, które usytuowano na stromym stoku pagórka, nie wzmocnionym rzędami murów oporowych, groziło stopniowe ześlizgiwanie się w dół, zwłaszcza po ulewnych deszczach. Z kolei w czasie suszy, zważywszy że w okolicy nie było wcale studzien, na mogiłkach wysychała wszelka roślinność, wniwecz obracając zabiegi rodzin, które zdobiły groby swych bliskich. Stąd też w pierwszych miesiącach istnienia cmentarza w prasie lwowskiej pojawiały się alarmistyczne artykuły o „robiącym przykre wrażenie” miejscu pochówku bohaterów Lwowa oraz



Pierwsza prowizoryczna drewniana kaplica na cmentarzu Obrońców Lwowa

nawoływania, by zarząd miejski zajął się grobami „dzieci naszych, które porwane szlachetnym zapalem z gołą ręką rzuciły się na najeźdźcę i w nierównej walce poległy”².

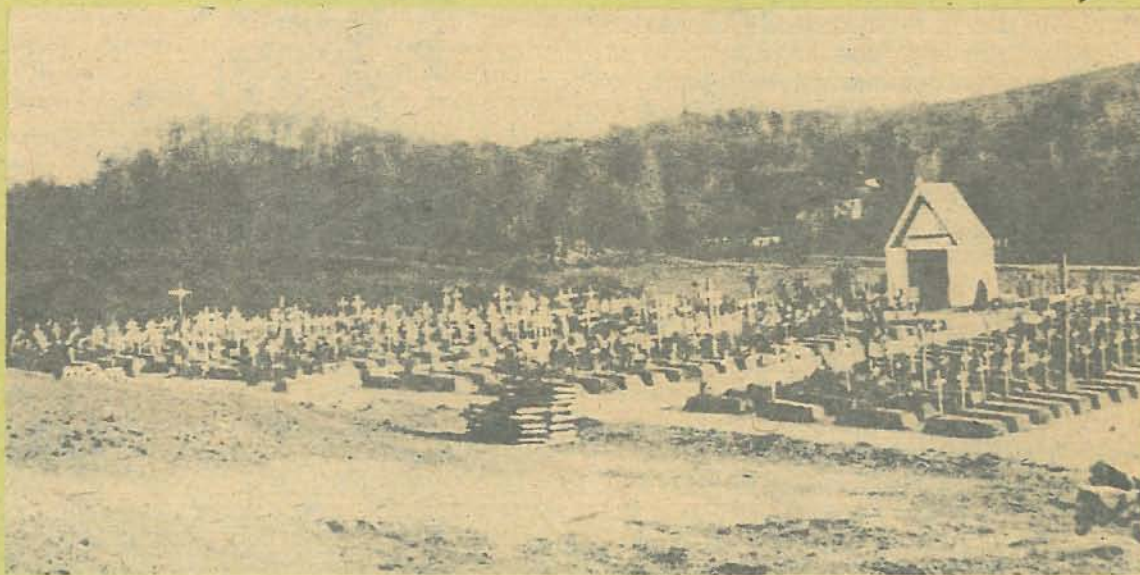
W jednym z pierwszych reportaży, jaki ukazał się o tej nekropolii, czytamy: „Ni tam zieleni, ni kwiatka jednego, jeno białe krzyże drewniane, a na nich tabliczki mające głosić sławę bohaterów. Tabliczki te zaś często bardzo smutne, gdyż zamiast nazwiska widnieje tam słowo: «Nieznany». I ciągną się długimi szeregami małe mogiłki naszych cichych bohaterów”³.

Ukrywający się pod kryptonimem S.B. dziennikarz „Kurier Lwowski” proponował, ażeby oddać opiekę nad grobami młodzieży szkolnej, a wówczas „uczniowie i uczennice, rywalizując w szlachetnym współzawodnictwie, zmieniliby ten surowy dziś koszarowy cmentarz w najpiękniejszy ogród”⁴. Wiele było tego typu amatorskich propozycji. Aby jednak to miejsce zamienić w jeden z najpiękniejszych zakątków Lwowa — jak to się stało w latach trzydziestych — trzeba było mieć koncepcję opracowaną przez specjalistów, profesjonalistów, skupić wokół niej przedsiębiorczych społeczników, zgromadzić na jej realizację odpowiednie fundusze. Tu chwała należy się ludziom, którzy stworzyli organizację do opieki nad grobami obrońców Lwowa i cel swój konsekwentnie przez dwadzieścia lat realizowali.

Do najbardziej ofiarnych organizatorów i działaczy SMPB należeli: żona prezydenta Lwowa Kazimiera Neumannowa (przewodnicząca do 1934 r.), Wanda Mazanowska (od 1934 r. przewodnicząca), Olga z Truszkowskich Zakrejsowa, Zofia Nędzowska, gen. Walerian Czuma, Aniela Aleksandrowiczówna, Jan Chłamtacz, baronowa Lena Jorkaschowa, dr Władysław Kubik, płk Czesław Maczyński, Henryka Malarska, Antoni Nestarowski, Adolf i Mieczysław Nechajowie, Michał Łużecki, ks. Józef Panaś, Emilia Szczerbańska, Teofila z Wolfów Kapłńska oraz Kornel Makuszyński — znakomity propagator i piewca czynu Orłąt.

W pierwszą rocznicę wybuchu walk o Lwów 1 listopada 1919 roku na nowo utworzonym cmentarzu odbyła się msza żałobna. Celebryjacy ją arcybiskup Józef Bilczewski wygłosił patriotyczne kazanie.

Pozyskawszy do SMPB wiele osób ofiarnych i pracowitych, zabrano się energicznie do dzieła. Pierwszy projekt uporządkowania terenu cmentarnego opracował dr Władysław Kubik (1881—1928), były dyrektor szkoły ogrodniczej w Zaleszczykach⁵. Uznał on, iż w pierwszym rzędzie należy uformować na zboczu tarasy, a piaszczyste i kamieniste wyboje przykryć specjalnie tu przywiezioną żyzną glebą, następnie podciągnąć pod cmentarz sieć wodociągów, wytyczyć alejki i wy-



Początki cmentarza Obrońców Lwowa

W lipcu 1919 r. z inicjatywy Marii Ciszkowej, żony lekarza, której 18-letni syn Tadeusz śmiertelnie ranny pod Zborowem zmarł 19 czerwca w czasie przewozu do szpitala lwowskiego, założono towarzystwo Straż Mogił Polskich Bohaterów (dalej SMPB). 27 sierpnia pod przewodnictwem ks. kapelana Józefa Panasia, który opracował statut tej organizacji, odbyło się pierwsze zebranie informacyjne. „Celem Straży Mogił Polskich Bohaterów — czytamy w notatce prasowej z tego posiedzenia — jest utrzymanie grobów w porządku, a nadto ozdobienie lwowskiego Cmentarza Bohaterów, urządzenie ścieżek, zasadzenie drzew, zaopatrzenie krzyży w trwałe napisy itp. Apel Straży do społeczeństwa wywoła niezawodnie ofiarność na ten cel. Datki przyjmuje redakcja «Kurier Lwowski»”⁶.

sadzić je ozdobną roślinnością, głównie tujami i płozącymi się krzewami.

Wojna polsko-bolszewicka i zagrożenie Lwowa przez konnicę armii Budionnego spowodowało przerwanie robót przy formowaniu tarasów. Rannych, którzy marli w szpitalach lwowskich, grzebano w pośpiechu. Wprowadziło to na cmentarz wiele chaosu i skomplikowało realizację planu. „Od samego początku — wyjaśniał dr W. Kubik, gdy mnie wezwano do ozdabiania cmentarza, byłem przeciwny grzebaniu na nagim stoku i dążyłem do zrobienia tarasów obok schodów [prowadzących do prowizorycznej kaplicy drewnianej — S.S.N]. Niestety, wojna bolszewicka przerwała te prace, a gdy nie było miejsca na groby dla nowych krwawych ofiar, z konieczności grzebano na nie wyrównanych stromiznach”⁷.

Z rozmachem do prac na formującym się cmentarzu Obrońców Lwowa przystąpiono jesienią 1920 r. i z początkiem wiosny 1921 roku. SMPB, której przewodziła wówczas Kazimiera Neumannowa, zorganizowała wiele narad i posiedzeń, w których uczestniczyły czołowe osobistości miasta, m.in. arcybiskup Józef Bilczewski, kurator Stanisław Sobiński, brygadier Czesław Mączyński, były namiestnik Galicji prof. Leon Piniński, księżna Sapieżyna. Początkowo myślano też o wzniesieniu Kaplicy Orląt w ogrodzie Politechniki, w miejscu gdzie był prowizoryczny cmentarzyk. Patetyczną odezwą do społeczeństwa, aby składać datki na ten cel, podpisało m.in. trzech arcybiskupów lwowskich, kilku generałów, profesorowie Politechniki i Uniwersytetu, pisarze, dziennikarze i politycy lwowscy⁸. Ostatecznie zdecydowano, że w ogrodzie Politechniki stanie symboliczny pomnik, a Kaplica Orląt powinna być usytuowana na nowo tworzonemu cmentarzu. I na ten cel przekazano pokaźną sumę z datków społecznych.

14 IV 1921 r. na posiedzeniu komitetu Straży Mogił Polskich Bohaterów Kazimiera Naumannowa poinformowała, że „w niedalekiej przyszłości ma być sprowadzonych do Lwowa około 18 wagonów granitu śląskiego, który był ongiś przez rząd pruski przeznaczony na budowę pomnika na cześć niemieckiego zwycięstwa”⁹. Teraz granit ma być oddany do dyspozycji twórców cmentarza Orląt. Pomoc wojska w przetransportowaniu głazów zaoferował gen. Zieliński. Na tym samym posiedzeniu postanowiono poszerzyć obszar pod planowany cmentarz i zakupić od sióstr benedyktynek ormiańskich kolejną parcelę na Pohulance. Wyasygnowane zostały fundusze na zakup u barona Brudnickiego dużej ilości sadzonek kwiatów i roślin znoszących niskie temperatury, którymi następnie obsadzono przeważnie groby obrońców nie mających rodzin we Lwowie. Podjęto też działania, aby przy wsparciu towarzystw naftowych, mogących przekazać bezpłatnie rury, założyć wodociąg, gdyż bez wody nie wyobrażano sobie utrzymania grobów w należytym stanie.

Najważniejszym postanowieniem tego posiedzenia było rozpisanie wśród architektów konkursu na ogólną koncepcję urządzenia cmentarza. Ministerstwo Kultury i Sztuki dla zwycięzcy wyznaczyło nagrodę wysokości 40 tysięcy marek polskich¹⁰. Zainteresowanie konkursem było duże, zważywszy iż Politechnika Lwowska miała na Wydziale architektury liczną kadrę naukową na poziomie europejskim.

Na konkurs wpłynęło pięć projektów. Jak to bywa w zwyczaj, nazwiska autorów nie były znane członkom jury przed otwarciem kopert, na których widniały jedynie godła. Kilka tygodni wcześniej prof. Witold Minkiewicz zwiadał ze studentami Wydziału Architektury skromnie wyglądający wówczas cmentarzyk Orląt i zachęcał ich do udziału w zapowiadzonym konkursie. W gronie tym był Rudolf Indruch, słuchacz V roku.

19 X 1921 r. „Kurier Lwowski” podał sensacyjną wiadomość, iż konkurs na urządzenie cmentarza Orląt wygrał posługujący się godłem „Białe Różę” student Politechniki Rudolf Indruch, w czasie walk o Lwów ciężko kontuzjowany. Fakt, że laureatem został nie jakiś znany, wybitny architekt, lecz przygotowujący się do egzaminu dyplomowego student, wywołał wśród fachowców pew-

ne zakłopotanie i sceptycyzm. Zarzucano projektowi zbyt dużą śmiałość i rozmach. Mówiono, że jego wykonanie będzie zbyt kosztowne i dopiero wnuki doczekają się realizacji tej wizji artystycznej. Dziwiono się, gdy niezamożny autor postanowił przekazać swoje honorarium na konto budowy cmentarza.

Często zdarza się, iż dzieło w jakiś irracjonalny sposób przerasta twórcę. Tak też się stało w tym przypadku. Wielokrotnie zachwycono się urodą Indruchowskiej koncepcji łyżakowskiego *Campo santo*, a pomysłodawcy poświęcano zazwyczaj kilka zdawkowych słów. Wiedzano o nim tak mało, że w dotychczasowej literaturze mylono nawet daty jego życia. Oddajmy mu sprawiedliwość i przywołajmy sylwetkę tego niezwykłego żołnierza—architekta



Rudolf Indruch

Rudolf Indruch urodził się 7 II 1892 r. we Lwowie. Jego matką była Czeszka, a ojcem Słowak Jan Indruch (1860—1912), który po służbie wojskowej w armii austriackiej osiadł we Lwowie, gdzie podjął pracę jako urzędnik pocztowy, a później listonosz. Indruchowie mieszkali pod Wysockim Zamkiem przy ul. Św. Wojciecha 9, w kamienicy Wiktora Świsterskiego (1873—1928). Mieli dwóch synów — prawnika Antoniego (1889—1943) i Rudolfa, który ukończył Wyższą Szkołę Realną, mającą swą siedzibę przy ul. Kubali (późniejsze I Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika). Rudolf był młodzieńcem uzdolnionym artystycznie. Malował obrazy, grał na skrzypcach. Zachował się m.in. jego obraz przedstawiający dom rodzinny przy ul. Św. Wojciecha.

Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości, co nastąpiło w 1911 lub w 1912 roku i zbiegło się ze śmiercią jego ojca, rozpoczął studia na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej. Studiował z licznymi długimi przerwami, w sumie dziesięć lat. Dezorganizację w jego uporządkowane życie wprowadziła wojna. Wiadomo, iż był oficerem rezerwy armii austriackiej w randze nadporucznika saperów i na froncie przeszedł ciężkie zapalenie płuc. Nie udało się ustalić kiedy i w jakich okolicznościach wstąpił do szeregów Wojska Polskiego. Brał udział w walkach o Lwów w listopadzie 1918 roku i później w wojnie polsko-radzieckiej. Musiał wy-

kazać się w bojach dużą ofiarnością, gdyż otrzymał Krzyż Obrony Lwowa i inne odznaczenia. W 1919 roku był porucznikiem w pułku Strzelców Lwowskich, stacjonującym przy ul. Jabłonowskich.

Z wojny wyniósł bardzo poważną kontuzję — przestrzelone płuca. Po trudach zdobycia Skniłowa i Sokolnik nabawił się ponownego zapalenia płuc oraz gruźlicy i odtąd już niszcząca choroba poczęła systematycznie trawić jego wątły organizm¹¹. Mimo to pozostał jeszcze czas jakiś w służbie wojskowej i dopiero w 1922 roku w randze kapitana opuścił żołnierskie szeregi, by oddać się spokojniejszej pracy. Złożył egzamin dyplomowy i objął obowiązki asystenta w Katedrze Rysunków Zdobniczych i Dekoracji Wnętrz przy Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej. Praca ta odpowiadała jego talentowi i była zgodna z jego zamiłowaniem. „Biegły w rysunku, świetny kolorysta — czytamy w artykule pośmiertnym w „Słowie Polskim” — twórczym zmysłem kompozycyjnym obdarzony artysta—dekorator świetnie umiał podpatrywać wartości zdobnicze form przyrody i wyzyskiwać je do celów sztuki. Kompozycje jego są bezpośrednie, szczere i oryginalne. Prace Indrucha wystawione w zeszłym roku [1926 — S.S.N.] w lwowskim Salonie Towarzystwa Sztuk Pięknych zyskały pochlebna ocenę krytyki¹²”.



Lwów. Kamienica Swiderskich przy ul. Sw. Wojciecha 9 (dziś Oleksy Dowłusza 9). W tym domu na I piętrze wychował się i zmarł Rudolf Indruch

W 1922 roku Rudolf Indruch ożenił się z Jadwigą Sikorską (1887—1977)¹³ i zamieszkał w domu teściów przy ul. Wojciecha 4. Oprócz malarstwa interesował się bardzo architekturą. Twórczość Indrucha w zakresie kompozycji architektonicznych nie mogła się jednak odpowiednio rozwinąć, gdyż okres jego działalności zawodowej przypadł na czas spowodowanego wojną zupełnego prawie zaniku ruchu budowlanego. Miał jednak w swym dorobku kilka projektów obiektów mieszkalnych i wojskowych, które zgłaszał na konkursy.

Fenomen Indrucha zabłysnął niestety na krótko w 1921 roku, kiedy to ku zaskoczeniu wszystkich ten schorowany student przedstawił najpiękniejszy i najśmielszy projekt urządzenia cmentarza Obrońców Lwowa. Zadanie było trudne, zważasz-

cza że trzeba było uszanować położenie istniejących grobów i zaadaptować dotychczas wykonane prace. To, co wydawało się największą przeszkodą — nierówność i pochyłość terenu — Indruch w swej koncepcji zamienił w niezwykle oryginalny układ cmentarza na tarasach, uwypuklających piękno zbocza schodzącego faliście w dół. Projekt Indrucha przewidywał stworzenie głównego wejścia na cmentarz Łyczakowski od Pohulanki. Te dy miała przebiegać szeroka aleja wysadzana strzelistymi drzewami, zamknięta bramą wejściową ujętą w stylu klasycznym i zwieńczona na szczycie rzeźbą wielkiego kamiennego orła garnącego pod swoje skrzydła młode orlęta. Od bramy, w głąb cmentarza prowadzić miały trzy szeregi kamiennych schodów ku trzem półkolistym tarasom grobów. Tarasy te, otoczone niskim żywopłotem sklamrowanym murewanymi słupkami, stanowić miały zwartą całość. W środkowej części stanąć miał monumentalny pomnik w formie łuku triumfalnego z kolumnadą (12 kolumn doryckich połączonych architrawem) tworzącą półkole zamknięte dwoma przysadzistymi pylonami. Na szczycie łuku triumfalnego miała znajdować się dużych rozmiarów rzeźba rycerza opartego na mieczu. Po bokach bramy umieszczone były dwa wielkich rozmiarów lwy kamienne, trzymające w łapach tarcze z herbem Lwowa i napisem: „Zawsze wierny” — „Tobie Polsko”. Za łukiem triumfalnym usytuowane miały być katakumby i rotundowa Kaplica Orłąt.

Pracy nad realizacją tego projektu Indruch oddał całą swą wiedzę, talent i wysiłek woli, by przy pomocy niewielkich funduszy doprowadzić swój pomysł do możliwych wyzyna artystycznych. Wykonał też projekt pomnika poległych na Persenkówce. Prace prowadził bezinteresownie i jak już wspomniano, nawet nagrodę konkursową oddał do dyspozycji stowarzyszenia Straży Mogił Polskich Bohaterów, które materializowało projekt. „Tutaj widać — czytamy w artykule pośmiertnym o Indruchu — charakter człowieka pozbawionego wszelkich cech egoizmu, pełnego poświęcenia dla idei, ofiarnego nawet kosztem zdrowia i życia. Chciał popiołom Obrońców Lwowa dać godną przystań. Nie przeczuwał jednak, że i sam tak prędko w tej przystani spocznie. Zgasł w sile wieku, mając 35 lat. Społeczeństwo straciło w nim piękny typ idealisty, sztuka — rokujący najlepsze nadzieje talent twórczy o silnej indywidualności, współpracownicy i koledzy niezwykle uprzejmego, zgodliwego i uczynnego towarzysza. Młodzież, której hojnie swą wiedzę i talent oddawał — żywy przykład godny naśladowania¹⁴”.

Pogrzeb Rudolfa Indrucha odbył się 27 I 1927 r. z krypty oo. Bernardynów. W kondukcje szło liczne grono profesorów Politechniki Lwowskiej, z rektorem Otto Nadolskim na czele, przedstawiciele Związku Asystentów Politechniki, Straży Mogił Polskich Bohaterów, delegacja Związku Obrońców Lwowa i liczne zastępy publiczności. Po wyniesieniu zwok z krypty Bernardynów chór Politechniki odśpiewał *Beati mortui*. Na cmentarzu Obrońców Lwowa zmarłego architekta pożegnali prezes Związku Obrońców Lwowa płk Karol Baczyński i przewodnicząca SMPB Kaziemiera Neumannowa. Spoczął w kwaterze XXI, nr grobu 1938, w pobliżu tzw. „domku ogrodnika”. Ta część cmentarza została po drugiej woj-

nie światowej zniszczona najszybciej, po prostu zajeżdżona samochodami.

Cmentarz Obrońców Lwowa wyróżniał się na tle innych europejskich nekropolii wojennych niezwykłą różnorodnością nagrobków i budowli sepulkralnych. Na tysiącach cmentarzysk wojskowych, którymi Europa pokryła się po pierwszej wojnie światowej, dominowała swoista monotonia. Całymi kilometrami ciągnął się las drewnianych bądź kamiennych krzyży, już w samym założeniu podobnych do siebie, jak mundury wojskowe tych, którzy spoczęli obok siebie w równych rzędach na ostatniej swej zbiorce. Klasycznym przykładem jest tu jeden z największych cmentarzy wojennych z okresu pierwszej wojny światowej w Łambinowicach, a spośród mniejszych w Strzegomiu na Dolnym Śląsku.

Rudolf Indruch poszedł inną drogą. Był przeciwnikiem monotonii. Uważał, że dla obrońców Lwowa należy stworzyć panteon noszący w sobie wszelkie cechy monumentalności, a który jednocześnie urodą swą wyzwałaby swoisty magnetyzm chęci przebywania w tym miejscu. Warto tu jeszcze raz mocno podkreślić, że Indruch znakomicie wykorzystał położenie — łagodnie schodzące w stronę Pohulanki zbocze wzgórza — sytuując w najwyższym punkcie cmentarza okazałą kaplicę, a nieco niżej katakumbę, a jeszcze niżej kolumnadę, łuk sławy i koncentrycznie schodzące groby.

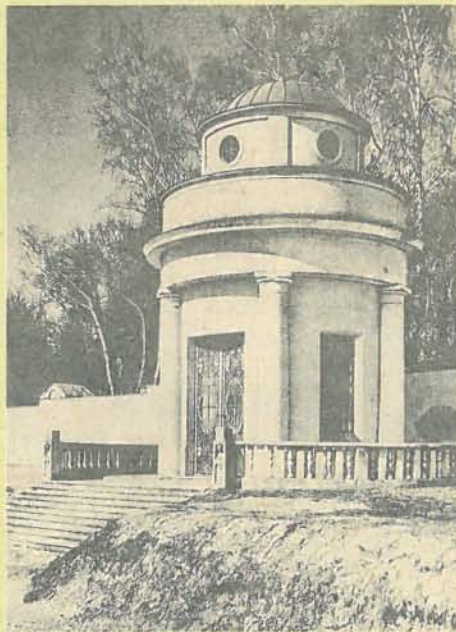
Złamanie pewnych wyobrażeń, jak powinny wyglądać cmentarze wojenne, wywołało ostry sprzeciw i polemikę prasową. Przeciwnicy projektu Indrucha atakowali głównie pomysł z katakumbami i domagali się plebiscytu: „Kto za, a kto przeciw katakumbom”. Twierdzili, że „projektodawców i Komitet [Straży Mogił Polskich Bohaterów — S.S.N.] należy powstrzymać. Jest to bowiem niebezpieczna myśl wybudowania katakumb dla «najbardziej zasłużonych»”¹⁶. Uważali, że bohaterstwa i oddania życia za ojczyznę nie można wartościować, a wyróżnienie niektórych poległych pochówkiem w katakumbach mogłoby sugerować wprowadzenie podziału na mniej lub bardziej zasłużonych bohaterów.

W sporze tym bardzo znacząca i można rzec arbitralna była wypowiedź powszechnie szanowanego „rarańczyka”, księdza kapelana Józefa Panasia. „Nie lubię — pisał ks. Panaś — dziennikarskiej polemiki. Jednak dwa artykuły umieszczone w «Kurjerze Lwowskim», a to *Handel grobami* i *Grobową komedią* zmuszają mnie do tego jako założyciela Straży Mogił Polskich Bohaterów, który wprawdzie teraz stoi z dala od stowarzyszenia, ale zawsze nim się interesuje. Artykuły te wyrządziły Straży Mogił bardzo ciężką, a niczym nie uzasadnioną krzywdę. W roku 1921, a więc cztery lata temu z górą, został rozstrzygnięty konkurs ogłoszony z inicjatywy Straży Mogił przez Koło Architektów we Lwowie w sprawie urządzenia Cmentarza Orląt. Wybór padł na plan inż. Indrucha. Plan ten został uznany za bardzo piękny i dobry, także przez prof. Szyszkobohusza, restauratora Wawelu. Zawiera on jako rozwiązanie stoków między kaplicą a cmentarzem katakumbę, które nie są więc pomysłem «pocziwych dobroczyńców», ale częścią konsekwentnie przeprowadzonej budowy cmentarza według raz przyjętego planu. Kto tam będzie leżał, stanowiąc łącznik między kaplicą a resztą cmen-

tarza, jest rzeczą właściwie zupełnie obojętną, a w każdym razie nie zostanie on bohaterem I klasy przez to, że rodzina chce go tam umieścić, ani przez to, że Związek Obrońców Lwowa postanowił umieścić w katakumbach reprezentantów poszczególnych odcinków i formacji biorących udział w walce o Lwów, tudzież pierwszej i drugiej odsieczy.

A więc wyciąganie wniosku z tego, że ta lub inna rodzina pragnie umieścić swego poległego syna w katakumbach i składa znaczną ofiarę na te katakumbę tak stmo nie jest kwalifikowaniem poległego do I lub II klasy bohaterów, jak nim nie jest umieszczenie nawet najwspanialszego pomnika obok zwykłego jodłowego krzyżyka, który ma oznaczać grób największego nawet bohatera, choć nim jednostkowo nikt się nie zajmuje, bo Straż Mogił zajmuje się budową cmentarza jako całości, a całość ta po doprowadzeniu do końca będzie wiekopomnym i wspaniałym dziełem, któremu z pewnością nie zaszkodzi ludzka złośliwość ani też złośliwe artykuły powstałe wskutek braku należytych informacji”¹⁶.

Po pewnym czasie spory zanikły. Plan budowy cmentarza realizowany był konsekwentnie. Nie broniono rodzinom wznoszenia pomników na grobach ich najbliższych według indywidualnych projektów. Na cmentarzu Obrońców Lwowa według ogólnej koncepcji Indruchowskiej było miejsce na zindywidualizowanie poszczególnych nagrobków. Stąd też można było tam spotkać częstokroć stojące obok siebie nagrobki granitowe, piaskowcowe, żeliwne i drewniane.



Kaplica Obrońców Lwowa wzniesiona w 1924 r. według projektu R. Indrucha

Realizacja projektu Indrucha rozpisana była na wiele etapów. Rozpoczęto od budowy kaplicy mszalnej, pod którą kamień węgielny poświęcił 26 VI 1922 r. ks. kanonik Dzieńdzielewicz w obecności m.in. gen. Józefa Hallera, brygadiera Czesława Mączyńskiego i wiceprezydenta Lwowa Marceliego Chłamtacza. Przemawiając w czasie tej uroczystości, wiceprezydent powiedział m.in.: „Dla ojców, dziadów i pradziadów naszych niezawodną busolę stanowiła myśl o ojczyźnie nie-

podległej zaklęta w cudną szatę przez arcymistrzów poezji polskiej. I spełniły się na koniec marzenia kilku pokoleń. Wolność zdobyliśmy krwią naszych braci i dzieci. Nie żądają oni hołdu za swoje czyny, oni obowiązek swój tylko spełnili, nie czekają słów pochwalnych za swe bohaterstwo, ono było szlachectwem ich duszy. Czekają oni natomiast, co pocznijemy z ich spuścizną: czy z wolności okupionej ich życiem korzystać będziemy umieli. Wiekopomne zdarzenia, które upamiętni Kaplica Obrońców Lwowa, jest uderzającym objawem żywotności naszego narodu. Następne pokolenia krzepić nim będą wiarę i otuchę do dalszych poczynań dla dobra ogółu i narodu". Uroczystość zakończył apel Kazimierzy Neumannowej o ofiarność na rzecz rozpoczętego dzieła oraz Rota odśpiewana przez chór „Echo”.

Zamierzona budowa obliczona była na wysokie kwoty. Zdobyć tak wysokich sum, idących w setki tysięcy dolarów, nie było rzeczą łatwą, lecz ofiarność polskiego społeczeństwa, pozostającego pod wrażeniem krwawych walk Orląt Lwowskich o miasto, była imponująca. Szczególnie rodzice nie szczędzili funduszy, aby swym nieodżałowanym dzieciom wzniesić pomnik, którym zachwycić się będzie w przyszłości Europa. Dla przykładu, by nie przeciążać tekstu zbyt drobiazgowymi danymi, podam tylko najbardziej hojnych ofiarodawców: firmy „Budulec” Wimmer-Radziwiłł-Zeleński darowały cegłę na budowę kaplicy i murów oporowych, inż. Hintzinger ofiarował granit, Ministerstwo Spraw Wojskowych — 500 kilogramów brązu, okucia i drzwi dała firma Gustawa Pammera ze Lwowa, zarząd miasta polecił zbudować tarasy kamienne z własnych kamieniołomów.



Pomnik lotników amerykańskich na cmentarzu Orląt i fragment katakumb z kaplicą

Imponująca była również ofiarność członków Zarządu SMPB. Dość wskazać, że lokal towarzystwa z własnych funduszy utrzymywała Wanda Mazanowska, pokrywając koszty światła, opału, telefonu itp. Bez wynagrodzenia pieniężnego pracował sekretariat pod kierunkiem Olgi Zakrejsowej, a później Ludwiki Białoskórskiej i Zofii Nędzowskiej. Każdy zebrany grosz szedł na materiały budowlane. Pracami budowlanymi kierowali bezpłatnie architekt Antoni Nestarowski i inż. Michał Łużecki, a pomagali ich inżynierowie Zygmunt Harland, Tadeusz Karasiński, Witold Minkiewicz i Antoni Olszewski. Nad stroną artystyczną wznoszonych budowli czuwali rzeźbiarze Juliusz Bełtowski i Jan Nalborczyk oraz inż. Witold Doliński. Oszczędzano przez to dziesiątki ty-

sięcy złotych (ówczesna relacja 1 dolar — 5 zł 18 groszy).

Duże dochody przynosiły też wydawnictwa SMPB w postaci ilustrowanych albumów i przewodników, a wśród nich słynny album *Semper Fidelis* z siedmiuset zdjęciami z walk o Lwów, który dziś jest znakomitą materiałem źródłowym dla historyków i absolutnym białym krukiem w kolekcjach bibliofilów. Książki te wydawała własnym kosztem Wanda Mazanowska, długoletnia członkini i prezeska SMPB. Wydawnictwa te zakupiło na polecenie kuratorów wiele szkół. Liczne egzemplarze trafiły do Ameryki.

Innymi źródłami dochodów SMPB, przeznaczonych na budowę cmentarza, były organizowane przez członków towarzystwa widowiska patriotyczne w teatrze i na wolnej przestrzeni, np. *Kościuszko pod Racławicami* na polach Jazłowieckich, loteria fantowa, wieczory literackie. Urządzane były zbiórki na ulicach miasta, podczas których w roli kwestarzy występowali powszechnie znani we Lwowie obywatele, sprzedawano w dniu zadusze przy bramach cmentarza znicze, świeczki, kwiaty, szarfy i chorągiewki. Kolportowano widokówki, emblematy i znaczki do kłap marynarek. Do najbardziej ofiarnych działaczy SMPB, oprócz już wymienionych, należeli również: gen. Tadeusz Sulimirski, Adolf i Mieczysław Nechayowie, Anna Rzepecka, Zofia Stadnicka, Roman Nikodemowicz, Julia Petrykiewiczówna, Bronisława Widtowa, Józefa Reichebergowa.



Matka Boska i maleńki Jezus stawiający pierwsze kroki (rzeźba L.A. Drexlerówny; znajdowała się w kaplicy Obrońców Lwowa)

Umiejętność wyzwolenia ofiarności społecznej przez Zarząd SMPB spowodowała tak znaczny napływ funduszy, że Indruchowska wizja cmentarza Orląt mogła być zrealizowana. W 1924 roku pod kierunkiem inż. Kazimierza Weissa ukończono budowę kaplicy, którą 28 września tego roku poświęcił arcybiskup Bolesław Twardowski. W uroczystości wzięli udział weterani powstania styczniowego, legionści, obrońcy Lwowa, generalicja polska z Władysławem Sikorskim — ówczesnym ministrem spraw wojskowych, duchowieństwo i nie-

zliczone rzesze mieszkańców Lwowa, głównie młodzieży. W kaplicy na ołtarzu umieszczono piękną figurę Matki Boskiej i stawiającego pierwsze kroki małego Jezusa według projektu bodaj najgłośniejszej wówczas polskiej rzeźbiarki Luny Amalii Drexlerówny (1882—1933). Przeniesienia z gipsowego modelu w piaskową kompozycję dokonał lwowski rzeźbiarz Andrzej Albrycht (1878—1937). 30 maja 1925 r. na tle potężnego muru oporowego odsłonięto Pomnik Lotników Amerykańskich.

(cdn.)

- ¹ „Kurier Lwowski”, 17 IV 1919, nr 107, s. 5.
- ² Tamże, 4 VIII 1919, nr 212, s. 5.
- ³ Na Cmentarzyku Obrońców Lwowa, „Gazeta Poranna”, 28 VIII 1920, nr 5405, s. 7.
- ⁴ Zob. „Kurier Lwowski”, 10 IX 1921, nr 213, s. 2.
- ⁵ Tamże, 28 VIII 1919, nr 236, s. 3. Zob. też: E. Szczerbańska, W imię prawdy o akcji opieki nad grobami bohaterów, „Dziennik Polski” (Lwów), 22 XI 1936, nr 325, s. 6.
- ⁶ Kubik zmarł przedwcześnie na zapalenie ucha wewnętrzne, Nekrolog, „Słowo Polskie”, 5 IV 1928, nr 95, s. 8; List córki dra W. Kubika Krystyny Laskownickiej do autora z 2 XI 1989 r. z Krakowa.
- ⁷ W. Kubik, Cmentarz Obrońców Lwowa, „Kurier Lwowski”, 10 IX 1921, nr 213, s. 2. Zob. też „Kurier Lwowski”, 22 X 1920, nr 257, s. 5.
- ⁸ Sprawa budowy kaplicy Orląt, „Kurier Lwowski”, 14 XI 1919, nr 311, s. 4; Pomnik „Kaplica Orląt” — odezwa, tamże, 12 V 1920, nr 117, s. 4.
- ⁹ „Kurier Lwowski”, 15 IV 1921, nr 88, s. 5.
- ¹⁰ Walne Zgromadzenie SMPB, „Kurier Lwowski”, 14 I 1921, nr 11, s. 6. W tej relacji podano, że Komitet

czyni starania, aby przewieźć do Lwowa z Poznania około 4 wagony granitu, który miał być wykorzystany przy budowie pomnika na cześć niemieckiego zwycięstwa w Wielkopolsce. Zob. też „Kurier Lwowski”, 15 IV 1921, nr 88, s. 5. 27 IV 1921 r. „Kurier Lwowski” podał natomiast, że „do Lwowa nadeszło 3 wagonów granitów ze Świecia na Pomorzu, które użyte będą do budowy kaplicy i katakumb”. Przewóz z dworca automobilami organizował ks. Józef Panaś.

¹¹ Dane do biogramu R. Indrucha zaczerpnąłem z: Lwowskie Okręgowe Państwowe Archiwum (dalej LOPA), księgi cmentarza Łyczakowskiego pola nr 62, pozycja 205. Wykorzystałem także: informacje z listów Pana Andrzeja Brodeckiego z Zabrze do autora z 29 X 1988 i 28 I 1989 oraz Pana Bogusława Sęka z Krakowa, nekrologi R. Indrucha, „Słowo Polskie”, 26 I 1927, nr 205, s. 3; tamże, 27 I 1927, nr 26, s. 9; „Gazeta Poranna” 28 I 1927, nr 8034, s. 4; „Wiek Nowy”, 27 I 1927, nr 7678, s. 10.

¹² W.S. (Wilhelm Skrzyczyński), Rudolf Indruch, „Słowo Polskie”, 29 I 1927, nr 28, s. 9. Stanisław Machniewicz, omawiając w „Kurierze Lwowskim” z 8 V 1921, nr 108, s. 2 wystawę Związku Studentów Architektury Politechniki Lwowskiej, wymienia z nazwiska Rudolfa Indrucha, Józefa Różyskiego, A. Mierzyńskiego, Z. Sawczyńskiego, J. Rogowskiego, B. Windrausza i pisze: „U każdego z wymienionych artystów widać wiele usiłowań w odnajdowaniu tajemnic piękna i harmonii w dawnych zabytkach”.

¹³ Jadwiga Sikorska była siostrą Zdzisława Sikorskiego (1876—1941), emerytowanego pułkownika Wojska Polskiego, zamordowanego przez NKWD w lwowskich Brygidkach.

¹⁴ „Słowo Polskie”, 29 I 1927, nr 28, s. 9.

¹⁵ W sprawie mogił obrońców Lwowa, „Kurier Lwowski”, 21 V 1925, nr 116, s. 3. Zob. też „Gazeta Poranna”, 27 V 1925, nr 7431, s. 3.

¹⁶ Ks. J. Panaś, W sprawie Straży Mogił Polskich Bohaterów, „Gazeta Poranna”, 15 V 1925, nr 7420, s. 5.

LITERATURA

WŁADYSŁAW ŻOŁNOWSKI

Ogniem i karabinem

Miały to być impresje dziecka. Pisane wprawdzie przez dorosłego, ale przecież przeżyte i zapamiętane przez dziecko: A więc obrazy nocy pełnej wystrzałów, płomieni i czerwonych twarzy morderców. Później miała to być relacja, informacja dla historii, jednak napisanie jej odkładane było z roku na rok, bo czasy nie sprzyjały ujawnianiu prawdy. A teraz pełnej prawdy o tym, co się wydarzyło nocą przedpalmową z 13 na 14 marca 1945 roku w Rohaczynie-Miasteczku koło Brzeżan nie da się już chyba ze wszystkimi realiami ujawnić, odsłonić i opowiedzieć. Nie żyje już wielu tych, którzy tę pamiętną noc przeżyli, a ci, którzy żyją, nie pamiętają wszystkich nazwisk i szczegółów. Dlatego moja wyprawa w tę noc będzie pomieszaniem technik pisania: relacji z impresją i refleksją i tylko cząstkowym przedstawieniem tego, co się wówczas wydarzyło. Będą to moje przeżycia uzupełnione wyznaniem najbliższych. A więc wspomnienia dziecka, opis tego, co widziało i słyszało. Zapis obrazów, przeżyć i myśli dorastającego chłopca, na które nakładają się informacje i refleksje dorosłych.

Z pamięci wyłaniają się postacie, którym daję życie. Jak na scenie ustawiają się jedne obok drugich lub naprzeciwko siebie. Przesuwają się obrazy prezentujące tło dziejących się zdarzeń, ożywione widzeniem i przeżywaniem człowieka, który je zapamiętał. Zapamiętane przez dziecko niektóre tylko przeżycia ubarwiają niektóre osoby, zdarzenia i krajobrazy, podczas gdy pewne fragmenty z przeszłości zanikają, pozostawiając uczucie niepokoju i niedosytu.

Między życiem a śmiercią

Dotychczas jeszcze czuję to napięcie w wiosennym bładoniebieskim nieboskłonie. Zawarte było między płaszczyzną doliny a kościółkiem wbudowanym w stok łagodnie wznoszącego się zbocza Kościółek stał na początku wsi (patrząc od strony drogi wiodącej do miasta) i stąd panował nad niżej położonymi zabudowaniami. Od kilku lat tylko dźwięk dzwonu z jego wieży przypominał o niedzielach i świętach, bo od dawna już nie odbywały się tu żadne nabożeństwa. Brama kościółka była stale zamknięta, a tylko co tydzień lub rzadziej dzwonił dzwon. Dźwięk niósł się nad pustą płaszczyzną doliny, nad łąką, pastwiskiem i obejściami. W przestworzu unosiła się pustka i smutna lękliwa cisza.

Choć już świeciło wiosenne słońce, wyrastała świeża trawa i czarnoziemna gleba nagrzewała się, nie można było wybiec za płot na łąkę i pohasać po ożywiającej się ziemi. Mamy ogarniały rękami wyrwywające się dzieci i nakazywały, aby nie wybiegały poza obejście. Z czarnych oczodolów pobliskiego lasu, rosnącego za rzeką po przeciwnej stronie kościółka, wзираła groza. Stamtąd w każdej chwili mogli nadejść bandyci.

Łąka była pusta. Tylko śmigwały nad nią czarno-białe jaskółki. Pomiedzy nami a obszarem łąki stanął niewidzialny mur. Widzenie przeze mnie świata zaczęło się od patrzenia na łąkę, od poznania jej zielonej, rozległej z punktu widzenia dziecka płaszczyzny. Potem zobaczyłem dwa okalające ją wzniesienia: nagą „dubynę”, za którą znikwały płynące na zachód białe puszyste obłoki, i przeciwległe mniejsze wzgórze porośnięte ciemnym lasem.

Dno doliny i wznoszące się z obu stron wzgórza były kolebką, w której rościłem, zacząłem poznawać i nazywać rzeczy, kształty i głosy. Tu po raz pierwszy odczuwałem istnienie trzech stanów materii: ziemi, wody i powietrza. Potem mój świat coraz bardziej otwierał się na nieskończoność.

Dolinę-łąkę pamiętam całą w słońcu, mimo że często tonęła w potokach deszczu i powodzi. Pozostała dla mnie jednak miejscem światła, ciepła, pachnącej trawy i ptasich odchodów. Wśród traw wyróżniał się wonny rumianek. W dłoniach rozcierało się jego świeże owoce, a następnie przykładało do twarzy. Pachniała także naniesiona przez powódź mulista ziemia. Nagrzewana przez słońce twardniała, pękała i parzyła stopy.

Tutaj były z ziemi dwie czyste krynice, tworzące małe potoki. Piliśmy z nich zimną czystą wodę, nachylając się i zanurzając w niej twarze lub czerpiąc ją złączonymi dłońmi. Gdy było gorąco, chłodziliśmy nią czoła i szyje. Z krynic kobiety nabierały do metalowych błyszczących wiader czystą wodę i zanosiliły na „koromysłach” do domów.

W skwarze dnia chodziliśmy nad rzeką, by nago nurzać się w jej płynącym leniwie nurcie. Nurkowaliśmy w błękitnej i łagodnie płynącej wodzie, która szumiała w uszach i opiekuńczo wynosiła nasze drobne ciała na powierzchnię.

Letnimi wieczorami z doliny unosiły się białe opary mgły. Kumkały żaby i rechotały ropuchy. A na granatowej kopule zaczynały iskrzyć się bliskie gwiazdy. Oglądałem je leżąc na wznak na zroszonej trawie. Czułem wtedy całym sobą bijące serce ziemi.

Po latach nad tą doliną zawisło drugie słońce — słońce mojej tęsknoty, z której powstała legenda bardziej rzeczywista niż życie.

Już wtedy, kiedy jeszcze tam byłem i oglądałem z bliska naszą dolinę, zaczęła rodzić się ta moja do niej tęsknota i powstawał obraz raj u niedostępnego od czasu wojny. Czekala na nas jak nieosiągalny eden, w którym nie było już dla nas miejsca. Tylko krążyły tam jaskółki... I słońce siało blaski na zieloną murawę...

Wiosną 1945 roku ziemia budziła się do życia i Zmartwychwstanie miało być — jak zawsze — jego nieodłącznym i najważniejszym aktem. Ale jedne serca pełne były zła i nienawiści, a drugie zatroskane i strwożone. Dźwięk dzwonu z wieży

kościelnej opadał i cichł. Był nieśmiałą pamiątką odbywającego się niegdyś Zmartwychwstania. Czas i przestrzeń rozciągały się między życiem i śmiercią.

Chociaż początkowo wydawało się, że zwycięży życie. W odczuciu starszych i dzieci maszerujące na zachód wojska radzieckie miały jakby zetrzeć z ziemi zbrodnie i zapobiec im w przyszłości. Następujący czas miał być inny, lepszy.

Ale właśnie po wyzwoleniu krąg nienawiści zacieśnił się nagle wokół doliny i wsi. Zło zmaterializowało się. W kwietniową noc na dolinę padły krwawe blaski płomieni.

Noc

Mama — jak wyznała to później — instynktownie wyczuwała, że coś złego może stać się tej nocy. Mnie i bratu powiedziała, żebyśmy poszli spać w ubraniu. Jakby na przekór tej uwadze rozebraliśmy się. Pozostawiliśmy mamę krzającą się w kuchni przy piecu. Piekła ciasto. Jutro przypadała Niedziela Palmowa.

Nagle poczułem szarpanie i usłyszałem wołanie mamy, żebyśmy natychmiast wstali i szybko ubrali się. Słyszę pojedyncze i seryjne wystrzały. Rozespani nie możemy od razu znaleźć ubrań i butów. Wszystko dzieje się jak w sennym koszmarze. Nasze czynności i słowa są bezładne, nieskoordynowane i gorączkowe.

Od pocisków zapalających, którymi strzelają napastnicy, płoną pobliskie obejścia. W niebo wzbijają się coraz większe płomienie. Przybiega sąsiadka, Katarzyna Andruszków, z dwoma małymi dziećmi. Jej dom i gospodarstwo znajdujące się na skraju wsi już całe płonie.

Mama z babcią znoszą zboże do chaty, która jedyna ze wszystkich budynków gospodarstwa jest murowana i kryta dachówką.

Potem już tylko żarliwe urywane modlitwy. I bezładne rozmowy. Co robić? Zostać czy uciekać? I dokąd?... Płomienie zbliżają się, a nasze budynki gospodarskie kryte są słomą, stodoła pełna siana i słomy. Wprawdzie w murowanej, krytej dachówką i położonej w pewnej odległości od innych budynków chacie możemy uchronić się od pożaru, ale czy bandyci nie wejdą do nas? Poszli w stronę centrum wsi, więc jest pewna, choć dość płonna nadzieja, że może już nie wróca... Ale czy na pewno?

Po chwili zobaczyliśmy dwie ciemne postacie z karabinami i ze słomianymi powrośkami na rękach. Był to znak rozpoznawczy wyróżniający napastników. Bandyci szli wąską drogą — ścieżką prowadzącą do obejścia sąsiadów. To rozstrzyga o sposobie naszego postępowania. Pośpiesznie tylnymi drzwiami opuszczamy dom i zaczynamy biec przez podwórze w górę...

Przed Niedzielą Palmową

Przed kilkoma godzinami to podwórze zamiotłem starannie do czysta. Żyliśmy już przypadającymi za tydzień Świętami Wielkanocnymi. Mama z babcią pobielili na bładoniebiesko dom i ściany wszystkich zabudowań. Jasnobłękitne wapno jaśniało w wiosennych promieniach słońca. Jego ostry blask padał na wschodzącą gdzieś niegdyś zieloną run trawy. Ziemia pod wpływem łagodnego ciepła odmarzała, stawała się miękka i pachniała czarnoziemną wilgocią.

Przyszła wolność

Poprzedniego, 1944 roku wiosną przeszła tędy, kierując się na zachód, Armia Czerwona. Wyzwolenie przeżyliśmy w pobliskich Brzeżanach, gdzie znaleźliśmy schronienie przed bandami UPA. Po spaleniu przez nich w marcu 1944 r. pobliskiego osiedla Huta i wymordowaniu pozostałych w nim jeszcze Polaków, obawiając się o nasze życie, uciekliśmy do miasta.

Jechaliśmy tam na furmankach, eskortowani przez przybyłych z Brzeżan kilku włoskich żołnierzy. Jechaliśmy drogą pełną mijających się niemieckich ciężarówek wojskowych i wzniecanego przez nie kurzu. Chłonałem z pewnym zafascynowaniem po raz pierwszy oglądany świat ruchu i techniki. Równocześnie wyławiałem z otoczenia powody do lęku. Oto jakby filmowe przypomnienie-zbliżenie. Upowiec stoi oparty o stóg siana w pobliżu drogi. Pod bluzą skrywa automat. Na ten widok włoscy żołnierze w milczeniu gotują się do użycia broni. Przejeżdżamy dalej w milczącym napięciu.

Wolność przyszła bez walk. Rozkopane wzgórze nad Brzeżanami nie zostało na szczęście wykorzystane do obrony przez cofające się pośpiesznie wojska niemieckie. Wzgórze to, zwane Bernardyńskim (od pobudowanego na jego skraju klasztoru oo. Bernardynów), panowało nad całym miastem. Niemcy przygotowali się tu do walki. Na obłym szczycie rękami Polaków wykopano sieć rowów mających służyć wojskom niemieckim do obrony. Na szczęście nie zostały użyte do tego celu. Później służyły dzieciom do zabawy. Biegały w tym labiryncie z gliny i darni.

Wolność nadeszła w ciszy i z wiosenną ciepłą pogodą. Noc, w czasie której mijała okupacja niemiecka, choć pełna lęku oczekiwania, nie wybuchła wojennym hukiem. Zebrani tłumnie w dużej piwnicy wraz z sąsiadami doczekaliśmy się poranka, w którym nie było już Niemców.

Śmierć dziadka

W tej nocnej ciszy, w której odchodziły wojska niemieckie, umarł w miejscowym szpitalu na serce dziadek Marcin. Dziadek, powalony atakiem serca, leżał na sienniku blisko otwartego okna. Było ciepło. Ja krążyłem w pobliżu. Dziadka otaczali dorośli, później został sam. Leżał w milczeniu. Zajrzałem z zewnątrz i utkwilem w oknie, wpatrując się w leżącego dziadka. Miał cierpiącą twarz i zmęczone oczy. Powiedział do mnie łagodnie, ale stanowczo, żebym przestał na niego patrzeć. Zrobiło mi się bardzo smutno. Dziadek został przewieziony do szpitala. Tam w nocy — w obawie przed domniemanym nalotem — schodził z innymi chorymi do piwnicy i umarł na schodach. Widziałem go potem w prosektorium. Usta miał sine. Byłem tym widokiem mocno poruszony. Po raz pierwszy zobaczyłem wtedy martwego i obnażonego starszego człowieka. Oczywiście wrażenie powiększyło to, że tym człowiekiem był mój dziadek. Szczególną atmosferę tworzyło samo miejsce, w którym on leżał. Naga kamienna posadzka, dezynfekowana środkami o nieznanych jeszcze zapachu, i nagie surowe ściany z figurą Chrystusa na krzyżu. Pochowaliśmy dziadka na cmentarzu w Brzeżanach. W dzień po-

grzebu było zdaje się pochmurno i deszczowo. Wolność dla nas na początku była pełna smutku.

Na cmentarzu żydowskim

Trochę dalej, na tym samym wzgórzu, na którym znajdował się cmentarz chrześcijański, był — na najwyższej i odkrytej nagiej połaci wzniesienia — cmentarz żydowski. Na krótko przed wkroczeniem wojsk radzieckich oglądałem odbywające się na nim straszne widowisko. Oglądałem z niewielkiego oddalenia, bo pod wzgórzem cmentarnym wtedy chwilowo mieszkaliśmy. Na cmentarzu płonęło. Buchały płomienie i wznosiły się kłęby czarnego dymu. Czułem wtedy raczej niż widziałem, że dzieje się tam coś strasznego. Uwydatnione to było jeszcze kontrastem między ogniem i dymem a rosnącymi na zboczu wzgórza bujnymi, dojrzewającymi zbożami i zielonymi trawami. I ciepłym, pełnym rosy, wieczorem.

Później dowiedziałem się, że wtedy płonęły ciała i ubrania pomordowanych Żydów. Po niespełna roku byłem na tym miejscu. Widoczne były zarysy dużych kwadratów pokrytych piaskiem i gliną. Takie kształty miały doły przeznaczone na pochowanie ciał rozstrzelanych Żydów. Jak później słyszałem, szli tutaj na wzgórze od centrum miasta, gdzie mieszkali. Po jednej stronie rynku stały ich kamienice. Po przymusowym opuszczeniu ich przez Żydów zostały spalone, a na jednej frontowej ścianie wśród oczodołów okien widniał po niemiecku duży czarny napis: „Tu mieszkali Żydzi”. Jeszcze do teraz trwa we mnie wrażenie absurdu tego napisu na wypalonych i zrujnowanych kamienicach.

Jaka wolność?

Wolność przyszła wraz z wiosną 1944 roku i była początkowo jak wiosna, wypełniona obietnicami. Żyliśmy znów nadzieją. Latem wróciliśmy na wieś do swoich pieleszy. I tam urządziliśmy się od nowa. Nastął spokój. Powstała — za zezwoleniem władz radzieckich — polska milicja do samoobrony. Nieliczna wprawdzie, ale dająca pewne poczucie bezpieczeństwa. Było w naszej wsi kilku młodych ludzi uzbrojonych legalnie, a pozostali mieli broń uprzednio zdobytą. Powstały tu już bowiem kilka lat temu, podczas okupacji niemieckiej, załączki Armii Krajowej.

Do II Armii Wojska Polskiego

Niedługo czuliśmy się w miarę bezpieczni. Jesienią 1944 roku ponad 20 młodych mężczyzn zostało zmobilizowanych do II Armii Wojska Polskiego. Odeszli z głośnym śpiewem. Chcieli nim zagłuszyć niepokój pożegnania i niepokój o to, co ich czeka. Pomaszerował wtedy z nimi stryj Józef, który przeszedł cały szlak II Armii do Pragi (czeskiej) i dalej do Niemiec. Z młodymi Polakami poszło wtedy również kilku Ukraińców przedstawiających się władzom wojskowym jako Polacy. Chcieli w ten sposób uniknąć dalszej służby w UPA.

Ci, którzy odchodzili do wojska i my, którzy zostawialiśmy, przeczuwaliśmy, że stało się coś ważnego, coś, co będzie miało dla pozostających na miejscu tragiczne następstwa. Bo nagle ubyło obrońców. Pozostało na wsi kilku młodych uzbrojonych mężczyzn i czasem tylko przyjeżdżała do

nas polska milicja z pobliskich Brzezan. Wolność coraz bardziej traciła urodę, a potem nagle przekształciła się w postać płonąca żagwią i karabinem.

Noc — ciąg dalszy

Podwórce wznosiło się w górę między szopą i budynkiem gospodarczym z piwnicą. Blisko niej stał stóg siana. Dlatego z obawy przed uduszeniem się nie ukryliśmy się w piwnicy. Biegliśmy w górę przez sad — na grządki. Tu, zwracając się ku kościołowi, biegliśmy dalej wzdłuż płonących obejść, obok stodół buchających wielkimi językami płomieni. Drewniane belki, dach i ściany trzaskały w ogniu. Pożar omiatał ciemności. Śpieszyliśmy w stronę pogrążonej w nocy sylwetki kościoła. Po grudach grządek i pól, w zlatujących z nóg butach. Omal nie zgubiłem buta na zamrzniętych skibach. W niewielkim oddaleniu od najbliższych obejść i od wielkiej drogi stał kościół wbudowany w łagodny stok wzgórza. Do drzwi wejściowych prowadziły podwójne schody, pod którymi było podpiwniczenie. Ten szczegół okazał się dla nas bardzo ważny.

Tej nocy jedną stronę kościoła, tę od drogi, oświetlał pożar. Dlatego biegliśmy w górę, ku zaciemnionej części murów. Chcieliśmy się schronić za nieoświetlone pożarem prezbiterium. Ale stamtąd, spoza muru, wychyliła się ciemna sylwetka i zawołała: „stój”. Zawróciliśmy i uskokczyliśmy w bok. Ukryliśmy się we wnęce muru — pomiędzy kamiennymi wspornikami. Tu usiedliśmy. Po chwili mama zaciągnęła nas do piwnicy pod schodami prowadzącymi do drzwi kościoła. Tam przycupnęliśmy i zza uchylonych drzwi obserwowaliśmy to, co się działo na zewnątrz. Drogę i plac przed kościołem oświetlał pożar. W blaskach płomieni widoczne były leżące ciemne sylwetki. Jedna z nich podniosła się i podeszła do drzwi piwnicy, za którymi czuwaliliśmy strwożeni. Ogarnęło mnie wtedy uczucie dziwnej obojętności na wszystko, co się działo. Byłem w stanie zadziwienia i szoku. Czułem się tak, jakby niebezpieczeństwo nie zagrażało mnie, ale komu innemu, temu, którego ja obserwuję z zewnątrz. Z tej dziwnej apatii wyrwał mnie głos matki. Pierwsza odezwała się do bandyty, uprzedzając go. Powiedziała, kłamiąc, że jest Ukrainką i nazywa się Narajewska... Zabrzmiało to chyba przekonywająco, bo upowiec zapytał: „A kto z tobą jest?” — „Tylko dwoje małych dzieci” — odpowiedziała mama — „To zamknij drzwi i siedź cicho” — powiedział. Ta rozmowa odbyła się jakby poza mną.

Bohdan Narajewski

Już któryś kolejny raz nazwisko Narajewski ocaliło nas. Rok temu, w marcu 1944 roku, po spaleniu i wymordowaniu mieszkańców pobliskiego osiedla Huta, Bohdan Narajewski, prowidnyk UPA w naszej wsi, stanowczo przeciwstawił się idącej od Huty bandzie zamierzającej także i u nas zabijać Polaków. Stał na moście prowadzącym do wsi i powiedziałem do stojących naprzeciw niego upowców: — „Możecie tu palić i zabijać, ale dopiero po moim trupie”. Tej nocy bandyci tylko zdewastowali opuszczone przez Polaków mieszkanie. W naszym domu zwalili piec oraz rozrzućli przedmioty i sprzęty.

Bohdan był synem mieszanego małżeństwa. Ojciec Ukrainiec, matka Polka; z domu nazywała się Świczewska. Zamordowany w czasie opisanej tu nocy kuzyn Edward nosił to samo nazwisko.

W naszej wsi, podobnie jak w innych okolicznych miejscowościach, ludzie żyjący „z dziada pradziada” byli w jakiś sposób ze sobą spokrewnieni. Mieszanych małżeństw ukraińsko-polskich i polsko-ukraińskich było wiele. Ukraińcy i Polacy od lat w większości żyli ze sobą zgodnie; tworzyli wspólnoty wiejskie. Podziały, sprzeczności czy konflikty nie wynikały z przyczyn narodowościowych. Inspiracje i nakazy brzemienne go w tragiczne konflikty podziału na Ukraińców i Polaków przysły z zewnątrz. Już w czasie wojny niektórzy miejscowi Ukraińcy nie widzieli sensu w mordowaniu polskich dzieci, swoich krewnych i sąsiadów. Tak było w naszej wsi Rohaczynie-Miasteczku i w sąsiednim Narajewie. Inne nastroje panowały we wsiach, których ludność w przeważającej większości składała się z Ukraińców (Rohaczyn i Wólka). Tam samo pojęcie „polskość” rozbudzało najbardziej ciemne instynkty.

Ilustracją tego jest wielokrotnie przeze mnie słyszane opowiadanie o uroczystości weselnej w Narajewie. Niespełna dwa lata przed opisaną nocą ojciec i stryj Władysław zostali zaproszeni na wesele w rodzinie ukraińskiej. Obaj poszli głównie dlatego, bo — jak sądzili — w gromadzie życzliwych ludzi będą bezpieczniejsi niż pozostając u siebie. O ich obecności na weselu dowiedzieli się młodzi, należący do bandy Ukraińcy z Wólki i Rohaczyna, i przyszli, by ich zabić.

Jeden z przybyłych bandytów zza okna mierzył z karabinu do ojca znajdującego się w domu weselnym. Miejscowi Ukraińcy przekonywali go: — „Nie strzelaj tu, narobisz tyle kłopotu gospodarzom i nowożeńcom. Lepiej go wyprowadź i zabij tam dalej”. Był to wybieg. Ojciec uprzedzony wyskoczył przez okno i uciekł w pole. Schował się w wyrosniętej kukurydzy. Inny Ukrainiec schował stryjka pod łóżko i powiedział bandytom, że tutaj nikogo nie ma. Zaraz potem kazał mu wyjść i uciekać. Ojciec i stryj do rana przeczekali w polu. Do miasta wrócili samochodem należącym do pododdziału zaopatrzenia Wehrmachtu.

Męczeństwo Michała Rzatowskiego

Los Bohdana Narajewskiego w różny sposób złączył się z losami Polaków z naszej wsi. W lutym 1944 r. upowcy z Wólki uprowadzili z domu dwudziestoletniego szewca Michała Rzatowskiego. Został wrzucony na sanie i przewieziony — jak później dowiedziałem się — do Korczunka, osady po byłych tzw. kolonistach polskich. Osada ta, położona w lesie, była bazą okolicznych band UPA. Tam poddano go nieludzkim torturom, sadzano na rozpalonym blacie kuchni, kładziono nań brzołę, a następnie chodzono po niej. Ale zanim to się stało, bandyci z uprowadzonym przejechali przez całą wieś.

Przez okno zobaczyłem najpierw sanie, które wolno sunęły i zatrzymały się przed obejściem Wydojników, gdzie mieszkał również ich zięć, Bohdan Narajewski. Za saniami szli wujko Wydojnik i bandyta w kozuchu z karabinem trzymanym na ramieniu. Rozmawiali ze sobą. Póź-

niej dowiedziałem się, że Bohdan Narajewski ze swoim teściem Iwanem Wydojnikiem chcieli uratować Michała przed wywiezieniem ze wsi. Bandyci byli nieubłagani. Na stwierdzenie, że Michał jest niewinny, odpowiedzieli, że również niewinni Ukraińcy na Wołyniu cierpieli z rąk Polaków. Później dowiedziałem się, że chodziło im nie tyle o rachunki domniemanych krzywd, ale o informacje dotyczące polskich organizacji wojskowych. Michał miał dwóch starszych braci, którzy ukrywali się i należeli do Armii Krajowej. Ale — jak mówiono — on nic o tym nie wiedział.

Michał długo cierpiał w samotności. Przywiązany do ścian, nie mogąc się poruszyć, poprosił znajdującą się na podwórzu gospodarstwa Wydojników jedną z ich młodszych córek, by do niego podeszła. Coś jej chciał powiedzieć. Nie podeszła. Bała się.

Bohdan Narajewski konno towarzyszył Michałowi i jego katom. Coś mówił do upowców, ale nic nie zyskawszy, zawrócił. Potem pojechał do ich bazy i był świadkiem męki. Michał błagał o ratunek, ale Bohdan nie mógł go uratować. Michał zmarł przed Wielkanocą 1944 roku.

Bohdan Narajewski — ciąg dalszy

Wiele spraw i zdarzeń pozostało dla dziecka nieodgadnionych. Może osoba Bohdana — po odsłonięciu wszystkich tajemnic — nie wyglądałaby tak dobrze, jak ją przedstawiam na podstawie tego, co wiem. Należał przecież do organizacji zbrodniczej z samego założenia. I zapewne musiał brać udział w strasznych zdarzeniach. Był przecież dowódcą pododdziału UPA. Ale właśnie on i jemu podobni musieli zginąć. Ginęli zabijani przez „swoich”. Bo oni sami nie chcieli ani nie pozwalali innym zabijać swoich sąsiadów, przyjaciół i krewnych.

Drabykowie

Do UPA należeli Drabykowie — ojciec i syn. Obaj mieli wygórowane ambicje. Stary Drabyk chciał zapewne zająć miejsce Bohdana Narajewskiego w organizacji. Młody Drabyk w tajemnicy przed Bohdanem przekazywał do lasu jakieś tajemnice.

Bohdan postanowił przerwać to donosicielstwo i odesłać Józefa Drabyka do oddziału. Udał się w nocy do obejścia rodziny Drabyków. Ale tam urządzono na niego zasadzkę. W ciemności obstawa Bohdana usłyszała jego okrzyk: „Chłopcy, padnijcie!”. Rozległ się huk wystrzału. Bohdan Narajewski padł martwy na ziemię. Zabił go jeden z Drabyków — ojciec lub syn.

Jeszcze tej samej nocy rodzina Drabyków wyniosła się ze wsi do Brzeżan. Później wyjechała do Niemiec, a stamtąd po wojnie wyemigrowała do Kanady. Dotarła do nas wieść, że starszy Drabyk już nie żyje. A jego syn Józef?... Muszę dodać, że starszy Drabyk przychodził przedtem w gościnę do polskich domów, m.in. do naszego. Był ożeniony z Polką — z domu Rzatkowską. Jego syn Józef jest z pochodzenia na pół Ukraińcem i na pół Polakiem.

Bohdan Narajewski — ciąg dalszy

Bohdan leżał martwy. Oblegała go rozpaczająca rodzina i wielu ludzi. Lamenty matki i żony

wznosiły się jakby falami i opadały. Zabity leżał pozołkły, z małym okrągłym znakiem na twarzy. Tył czaszki był wyrwany. Gdy ciało zabrano z mar do trumny, został ropiejący ślad na poduszce. Bohdana odprowadziła na cmentarz zgodnie cała wieś. Żegnali go z żalem i Ukraińcy, i Polacy.

Ojciec często opowiadał o tym, jak Bohdan chronił go przed „swoimi”. Kiedyś powiedział do Ojca: „Maćku, nadchodzące dwa tygodnie będą najgorsze. Muszę was ukryć”. I ukrył mego ojca oraz stryja Władysława w piwnicy domu swego ojca. Drzwi piwnicy zamurował. Został tylko otwór do oddychania wychodzący na podwórze. Gdy mój ojciec chciał opuścić wraz z nami wieś, Bohdan powiedział — „Maćku, jeszcze nie czas. Dopóki ja żyję, ty nie zginiesz”.

Mieszkanie Bohdana ożenionego z jedną z córek Wydojników, Magdaleną, było czasem schronieniem dla mnie, brata i matki. Spaliśmy w tym samym pokoju, w którym mieszkali młodzi Narajewscy, a później leżał martwy Bohdan.

Noc — ciąg dalszy

Więc jak odszedł od nas upowiec, matka zamknęła drzwi, ale nadal była niespokojna. Pociągnęła nas za sobą i zmusiła do wydostania się przez otwór w sklepieniu piwnicy do przedsionka kościoła. Drzwi prowadzące do głównej nawy były zamknięte, więc skryliśmy się obok we wnęce ściany. Przycupnęliśmy tam skuleni, drżąc z zimna i tuląc się do siebie. Trwaliśmy. Z przestachem spostrzegłem w górze wybite okno i wystającą z niego drabinę. Przez cały czas trwożnego czekania myślałem o tym, że bandyci mogą zajrzeć do kościoła i nas zobaczyć. Powiedziałem to mamie, ale nie zareagowała. Później mówiła, że nie zrozumiała mnie. Podczas ucieczki nie odstępował nas nasz pies. Przybiegł z nami do kościoła. Złęczony tulił się do nas, choć potem nagle, jakby wystraszony zamkniętą murami przestrzenią, wybiegł na zewnątrz. Później tak samo zareagował, jak wyjeżdżaliśmy na zachód. Uciekł z wagonu i już go nie zobaczyliśmy.

Skurczeni, przytuleni do siebie i do zimnych murów czekaliśmy. Nie wiem teraz, szybko czy powoli płynął czas pożogi i rzezi. Nie śmieliśmy ruszyć się z miejsca. W pewnej chwili nagle bezwiednie zmoczyłem się. I zaraz bardzo zawstydzilem się sam przed sobą. Wyrzuciłem sobie w duchu, że to stało się w kościele, i pomyślałem, że popełniłem profanację.

Przez cały czas naszego trwożnego czekania słychać było pojedyncze i seryjne wystrzały. Widać było na szybach okien kościoła różowe odblaski płomieni.

Kiedy zaczęło się świtanie, wszystko ucichło. Mama poszła schodami na chór i stamtąd obserwowała wieś. Wtedy usłyszeliśmy wołanie babki, która podczas ucieczki przez pole odłączyła się od nas. Opowiadała, że położyła się w dołku obok kopca kartofli, a później czołgała się w bruzdzie przy miedzy na polu coraz wyżej, aż do wzgórza, i tam nie zauważona dotrwała do świtu. Słyszała śmiech odchodzących bandytów. Po ich przejściu wstała i przysłała do nas.

Odnalazła się z dwójką dzieci uciekająca z nami sąsiadka. Pozostała nie zauważona między wy-

stającymi wspornikami na zewnątrz kościoła, gdzie doczekała się świtu.

Babcia powiedziała nam, że zamordowano moich dwóch kuzynów rówieśników — Edwarda i Jana. I wielu ludzi. Nie mogłem w to uwierzyć. Wydawało się to zbyt absurdalne, aby mogło być prawdziwe.

Powoli powlekliśmy się do domu, który jako jedyny w obejściu budynek murowany i kryty dachówką ocalał. Inne budynki naszego gospodarstwa spaliły się do fundamentów.

W naszym domu zebrało się już wielu ludzi, którzy utracili swoich bliskich i swoje domostwa. Ze zmęczenia zasnąłem. Potem obudził mnie jakiś głos. Pogrążony w koszmarnym półśnie łkałem. Budziłem się powoli. Nade mną stał nachylony ojciec. Przyjechał z Brzeżan, gdzie jako zmobilizowany zatrudniony był w radzieckim wojskowym zakładzie usługowym.

Podniosłem się i wyszedłem na podwórze. Obejrzałem spalone do samej ziemi obejście. Miejsca po stajni, szopie i stodole. Nad piwnicą w podwórzu stał warsztat gospodarski. Pozostały po nim przepalone metalowe narzędzia.

Po naszym podwórzu kręcili się przybyli z Brzeżan polscy milicjanci. Byli podnieceni i źli. W pierwszym odruchu gniewu chcieli podpalić nasz ocalały dom w przekonaniu, że należy do Ukraińców. W rzeczywistości nasz dom przylegał bokiem do domu rodziny ukraińskiej i chyba dlatego nie został podpalony. Zamiar podpalenia był absurdalny. W domu przebywało dużo ocalonych polskich rodzin. W jednym pokoju leżało kilkoro pomordowanych, mój młodszy brat dziwił się, że leżą tam tacy nieruchomi ludzie. Nie mogąc znaleźć ujścia swej złości, milicjanci ustawili na drodze karabin maszynowy i strzelali krótkimi seriami do pobliskiego lasu.

Część milicjantów udała się do pobliskich wsi ukraińskich na podwozy, aby ocalałych z rzezi i pożaru przewieźć do miasta.

Około południa odbył się pośpieszny pochówek pomordowanych. Pogrzebano ich na placu przed kościołem, w którym ocalałem. Pochowano ich w naprędce zbitych trumnach. Szczątki jednej czy dwóch spalonych rodzin pochowano w szafie.

Tej tragicznej nocy zginęło 47 osób, w tym 17 młodych chłopców i 4 kobiety.

Pomordowani

Oto zrekonstruowane w pamięci, wydobyte z ciemności nocy niektóre sceny mordu.

Mój kuzyn Edward Świczewski zginął na rękach matki. Stryjna Maria uciekała z trojgiem dzieci. Dwoje młodszych, kilkuletnich ucieka przodem. Ona zostaje zatrzymana z najstarszym Edwardem. Upowiec mówi, żeby poszła do stajni i wypuściła bydło. Czyżby chciał ocalić jej syna?... Ale ona, niespokojna o los dwojga młodszych dzieci — Anny i Mariana, nie usłuchała tej zdaje się dobrej rady. Nie wiedziała wtedy, że dwoje dzieci jest już w bezpiecznym miejscu. Uciekając z Edwardem dalej do ogrodu natrafiła na innego upowca, który ranił Edwarda, przestrzeliwując mu policzki. Edward pada. Matka woła — „Edziu, gdzie jesteś?” Słyszysz słabą odpowiedź — „Nie mogę się podnieść”. Schyla się, podnosi dziecko, opierając jego głowę na swoim ramieniu. Wtedy bandyta strzela drugi raz w

głowę Edwarda. Na rękę matki tryska mózg i leje się krew. Głowa Edwarda zwisa bezwładnie. Miał wtedy 13 lat. „Gdybym wówczas nic nie mówiła, może by Edzio żył” — mówi teraz.

Zaraz potem nadbiegła Magdalena Narajewska, z domu Wydojnik, mówiąc stryjnemu, że dwoje młodszych dzieci dotarło do jej domu.

Drugi mój kuzyn, Jan Stefanów, został także zamordowany na rękach matki. I na oczach ojca, który prosił bandytę, żeby zabił jego zamiast syna. Upowiec nie usłuchał. Więcej o tym zabójstwie nie dowiedziałem się. Inne realia tego mordu zabrali ze sobą do grobu Franciszka i Marcin Stefanowie.

Marcin Andruszków nie chciał uciekać. Z płonącego obejścia wyszedł na drogę i tam od razu został zabity. Miał około 70 lat. Jego przybrana córka Katarzyna przybiegła z dwojgiem dzieci do naszego domu, a następnie uciekając z nami, znalazła schronienie pod murem kościelnym.

Mikołaj Bednarz uciekł do piwnicy, lecz później — jak pożar przybliżył się — wyszedł z niej, aby wypuścić konie ze stajni. Otrzymał postrzał w głowę. Miał ponad 50 lat.

Maria Buczyńska (lat ponad 40) została zamordowana wraz z 10-letnią córką Karoliną, którą trzymała w objęciach.

Józef Rzatkowski (około 30 lat) zastrzelony na łące. Prowadzony na śmierć modlił się głośno.

Rzatkowscy, dwaj bracia (Piotr i ?) — zabici. Okoliczności nieznane.

Marcin Rzatkowski zabity w nieznanym okolicznościach. Lat około 60.

Katarzyna Wiatyk z 12-letnim synem zabici podczas ucieczki przed swoim domem i spaleniu w jego pożarze.

Anna Andruszków zabita na swoim podwórzu. Lat ponad 55.

Józef Andruszków zabity na swoim podwórzu. Lat około 50.

Piotr Andruszków zabity w nieznanym okolicznościach. Lat około 50.

Piotr i Anna Buczyńscy — małżeństwo z dwójką dzieci — ukryci w piwnicy udusili się dymem.

Taki sam los spotkał Krasickich, małżeństwo z dwójką dzieci, oraz Karolinę Wiatyk — także z dwójką dzieci.

Józef Łapszyński (55 lat), postrzelony, zmarł w szpitalu w Brzeżanach. Nie pomogła amputacja ręki. Jego żona Maria, mocno poparzona, umarła później.

Władysław Uchman, kaleka (lat 30) — zabity w nieznanym okolicznościach.

Tej nocy zostali również zabici niektórzy Ukraińcy, mieszkańcy naszej wsi. Nie wiadomo, czy nastąpiła tu pomyłka, czy bandyci dopuszczali taką możliwość.

Wasył Drobnicki (lat 30) został zamordowany na drodze przy swoim gospodarstwie. Najpierw uciekł z domu i schronił się w pobliżu z żoną i z dzieckiem. Żona bała się, że dziecko zacznie płakać i posłała go po butelkę z mlekiem. Wtedy właśnie natknął się na bandytów. Zamordowali go, pomimo że powiedział, iż jest Ukraińcem. Strzelili do niego oraz zadali sześć pchnięć bagnietem. Zdjęli mu buty.

Michała Semków (lat około 50) zabito koło jego domu.

Podczas ucieczki z domu zabito w drzwiach 16-letniego Iwanickiego.

Hładkij i Hnat, ranni, umarli w szpitalu w Brzeżanach.

Zamordowano także rodzinę Łemków (nazwisko i imiona nieznane) przybyłą do nas na kilka dni przedtem z zachodu. Ojciec tej rodziny, zrozpaczony i zdeorientowany, pytał moją mamę, gdzie się może ukryć. Rano znaleziono całą rodzinę martwą w rowie przydrożnym.

Na placu przed kościołem pochowano 14 marca 36 pomordowanych, uduszonych w dymie i spalonych.

Miedzy śmiercią a Zmartwychwstaniem

Chronieni przez polską milicję opuściliśmy rodziną zamordowaną i spaloną wieś. Tym razem na zawsze. Dzień był pochmurny, zimny i smutny. Jak nasze serca. Święto Zmartwychwstania obchodziliśmy w Brzeżanach. W zabytkowym kościele farnym na wzgórzu.

Świt 21 kwietnia 1945 roku. Rozpoczyna się uroczystość rezurekcyjna. Grób Chrystusa w światłach i kwiatach. W rzędach na kilku stopniach pali się wiele świec. Miedzy kwiatami w doniczkach wysoko leży alabastrowa Postać.

Największe zdumienie dziecka budzi widok młodych polskich żołnierzy pełniących straż przy Grobie. Są w hełmach i trzymają na ramionach karabiny. Stoją nieruchomo w blaskach palących się świec. Widać, że są wyraźnie przejęci tym, co czynią. Ten obraz po tym, co przeszliśmy, graniczy z cudem.

Zaczyna się procesja. Żołnierze towarzyszą Zmartwychwstałemu w białym opłatku i w monstrancji pod baldachimem. Procesja trzykrotnie okrąża kościół.

Wszystkie wrażenia i przeżycia dziecka przenika przecucie raczej niż myśl, że to już ostatnia obchodzona w tym kościele uroczystość wielkanocna. Po raz ostatni tutaj rozlega się pieśń *Wesoły nam dziś dzień nastał*.

I jeszcze niejasne przypomnienie rozmowy ojca z kimś na placu przed kościołem. Znajomy ojca, zaciągając się papierosem, urywanymi zdaniem opowiada o spotkaniu grupy uzbrojonych Polaków z oddziałem upowców w lesie koło spalonego osiedla Huta. Mówi, jak ich znienacka bandyci otoczyli i chcieli pojmać żywych. Wzywali do poddania się. W ostatniej chwili osaczeni opamiętali się i zaczęli strzelać. Wielu bandytów zginęło i zostało rannych. Krew znaczyła ślady ich ucieczki.

Tak w dzień Zmartwychwstania rozchodziła się wieść o nienawiści i krwi.

Po wielu latach

Po upływie wielu lat od czasu, kiedy ze stron rodzinnych wywiózł nas pociąg o kilkaset kilometrów na zachód, odwiedziłem tamte miejsca.

Kościół farny w Brzeżanach zamieniono na halę sportową. Poznałem tylko zarys budowli i zachowane zabytkowe wejście. Chwała Boga i Kościoła została tu zhańbiona. Na obraz przerobionej budowli nakładają się obrazy dawnej przedkilkuwiekowej i niedawnej przeszłości. Obraz ostatniej Rezurekcji w 1945 roku i obraz uroczystości ślubnej Jana Bieleckiego, dany w powieści poetyckiej Juliusza Słowackiego.

„W Brzeżan miasteczku, w kościele u Fary
Jaśniej ołtarz — potężne organy

Wstrząsają pełne grobowców filary.

Po ławkach jasne migają żupany”.

Kościółek, w którym ukrywałem się pamiętnej nocy, służył jako magazyn. Jego grube mury, pozostawione niszczącemu czasowi, już gdzieś pękały. I był już bez krzyża na szczycie wieży.

Na placu przed kościołem zaniedbane, porośnięte trawą i wysokim łąkowym żółtym kwieciami groby pomordowanych.

Odnalazłem grób Edwarda. Był pośrodku. Obok leżał duży żelazny krzyż zerwany z dachu kościoła. Z lewej strony ktoś pobudował dom mieszkalny. Płot otaczający dom dochodzi do kościelnego muru. Dochodzi do tego miejsca, które w pamiętną noc z 13 na 14 kwietnia 1945 roku było naszym chwilowym schronieniem. Tak że kościół stał się swego rodzaju płotem. Było to w 1975 roku. Czy mury kościoła jeszcze stoją?

Obrazy i głosy jednego czasu nakładają się na widoki i głosy innego czasu. Miedzy nimi trwa bolesne rozdarcie.

Apel I

Pamięć dziecka jest niepełna. Trwoga, lęk powodowały psychiczne kurczenie się, zamykanie się przed tym, co się wokół działo. Zapisuję tę moją ograniczoną z konieczności wędrówkę w czasie i przestrzeni, mając nadzieję, że może jeszcze inni żyjący i pamiętający noc z 13 na 14 kwietnia 1945 roku w rodzinnej wsi pójda moim śladem i uczynią jawnym to, co jest jeszcze tajemnicze, że może swoją pamięcią oświecą bardziej tę noc na małym skrawku ziemi południowo-wschodnich kresów II Rzeczypospolitej.

Dlatego zwracam się do tych, którzy pamiętają pożogę i mord nocą kwietniową 1945 roku w Rohaczynie-Miasteczku, aby wydobyli z tamtego czasu, tamtego ognia i tamtych ciemności postaci ludzkie i rozgrywające się wtedy sceny śmierci. Aby ocalili w miarę możliwości prawdę o tamtej nocy i o poprzedzających ją i następujących po niej nocach i dniach. Ten apel kieruję przede wszystkim do byłych mieszkańców zamordowanej wsi, a mieszkających teraz na Dolnym Śląsku w Świerszczowie i w Miejsu pod Namysłowem oraz w samym Namysławie. Niech się już nie boją wyznać całej prawdy. Jednym z najgorszych posiewów przemijającego systemu jest ciągle obecna w ludzkich sercach obawa przed wyznaniem prawdy. Bo w ludziach gromadziły się osady lęku przed daniem prawdziwego świadectwa. Ale ten system naprawdę minie wtedy, gdy prawda o ludziach i zdarzeniach do końca zostanie ujawniona. Także wtedy, jeśli ciemności tamtej opisanej i opowiedzianej tu cząstkowo nocy i wielu innych takich nocy zostaną oświetlone. Przez pamięć i osąd ludzi.

A wszystkim pomordowanym, leżącym w ziemi obok kościoła, należy się uroczysty pochówek i modlitwa na miejscu. Trzeba do tego jak najprędzej doprowadzić.

Apel II

Drugi apel kieruję do podpalaczy i morderców. Niech staną przed Bogiem i własnym sumieniem. Niech dokonają tego rachunku. Niech tu uczynią nie tylko dla tych, których nienawidzili i mordo-

wali, ale przede wszystkim dla siebie i swojego narodu. A także dla pojednania żyjących po sąsiedku Polaków i Ukraińców. Nic tak — wbrew pozorom — nie umożliwia współzycia ludzi, jednostek, społeczeństw i narodów, jak ujawnienie prawdy o tym, co ich dzieliło i dzieli. Wyznanie prawdy łączy się z pragnieniem wyciągnięcia wniosków z minionej przeszłości. Dlatego chciałbym spotkać się z tymi, którzy palili i mordowali w tę noc z 13 na 14 kwietnia 1945 roku. Także z tymi, którzy oszczędzali. Z tym, który oszczędził mnie, mego brata i moją matkę. I z tym, który jako pierwszy oszczędził Edwarda. I z tym, który go zamordował. I także z tym, który za-

mordował Jana. Chciałbym ich zapytać, po co to uczynili? I na co to się zdało?

Post scriptum

Wszyscy, którzy mogą uzupełnić i wzbogacić moją relację o nocy z 13 na 14 kwietnia 1945 roku w Rohaczynie-Miasteczku oraz o wydarzeniach ją poprzedzających i następujących po niej, a szczególnie o ludziach wtedy zamordowanych i ocalałych, proszeni są o nadsyłanie informacji i uwag (a także ewentualnie odpisów posiadanych dokumentów) pod moim adresem: Władysław Żółnowski, 45-774 Opole, ul. Dambonia 65, m. 8.

WSPOMNIENIA

TADEUSZ MYCZKOWSKI

Wielkanoc Stanisławy Klimkowskiej-Bieńkowskiej

W wigilię Świąt Bożego Narodzenia 71 lat temu lwowski „Express Poranny” tak relacjonuje walki o Persenkówkę: „Krwawy bój na całej linii. O godzinie 1 po południu padają Kozielniki, nieprzyjaciel dociera do toru kolejowego i okalającym ruchem atakuje Persenkówkę. Rozpętała się zacięta walka o willę Höflingera, która trzykrotnie przechodzi w ręce nieprzyjaciela, odbita jednak zostaje dzięki nieopisanej brawurze ppor. Mazanowskiego. W walce tej śmiertelną odnosi ranę ulubieniec „Straceńców” 13-letni Antoś Petrykiewicz, uczeń II klasy gimnazjalnej, dzielny obrońca Lwowa z listopadowych walk na Górze Stracenia. Ginie sekcyjny Julian Zaziemski, kładąc trupem czetara sotni kołomyjskiej. Pełna poświęcenia sanitariuszka Stanisława Klimkowska w czasie opatrywania rannych zostaje trzykrotnie ciężko ranna”.

Po 67 latach „Głos Szczeciński” z 23—24 III 1985 r. relacjonuje niezwykle wernisaż, który odbył się 8 marca 1985 r. w szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich. „Ach, co to był za wernisaż! Tłum przyjaciół i ciekawionych widzów. Kwiaty. Mnóstwo kwiatów. I gratulacje, serdeczności, podziw. Reflektory, kamery, mikrofony, błyski fleszów... A w samym środku tej bajecznie kolorowej, pełnej blasku scenerii pani Stanisława Klimkowska-Bieńkowska. Nestorka szczecińskich plastyków. Właśnie rozpoczęła 89 wiosnę swego życia. «Czas więc zaczął dla niej biec z szybkością światła» — jak napisano w karneciku z zaproszeniem na wystawę. Nie czekając zatem okrągłych dat i jubileuszowych pretekstów oto wystawa, na którą zaprasza. Wystawa jest retrospektywna, a więc bardzo bogata. Na obrazach kwiaty, pejzaże, portrety, szkice i dwa jakby reportaże z życia artystki: jeden z lat młodości i okresu konserwatorskiego, drugi z dni dzisiejszych.”

Pani Stanisława Klimkowska-Bieńkowska urodziła się 1 marca 1896 r. w Demnie nad Dniestrem. Dzieciństwo spędziła we Lwowie. Były to najpiękniejsze, bo beztrudne lata jej życia. Atmosfera tego miasta i atmosfera domu rodzinnego, w którym rodzice rozwijali wśród licz-



Pani S. Klimkowska-Bieńkowska na wernisażu

nej gromadki dzieci zainteresowania artystyczne, miała decydujący wpływ na wybór drogi życiowej pani Stanisławy. Wiedziała, że zostanie artystką. Może nie od razu była przekonana o wyborze „kariery” malarki. Uzdolnienia aktorskie i wokalne podpowiadały drogę na scenę, jednakże od najwcześniejszych lat próbowała rysować. Kiedy w 1913 roku we Lwowie powstała Wolna Akademia Sztuk Pięknych, zapisała się tam jako jej najmłodsza uczestniczka. Rysunek i malarstwo zaczęły ją coraz bardziej pasjonować. Bardzo krótko, niestety, było jej dane rozwijać zainteresowania plastyczne. Wybuch I wojny światowej zastał rodzinę Klimkowskich poza Lwovem. Zawierucha wojenna pełna była chwil groźnych i dramatycznych. Stanisława Klimkowska zdobyła kwalifikacje sanitariuszki w szpitalach polowych. W wolnym od pracy czasie szkicowała.

Najgorsze chwile w swym życiu przeżyła przyszła malarka w grudniu 1918 roku podczas walk o Lwów. Jako sanitariuszka zgłosiła się do oddziału rotmistrza Romana Abrahama. Brała udział w listopadowych walkach na Górze Stracenia. W czasie walk o Persenkówkę, podczas ratowania rannych, została trzykrotnie ranna. Sama trafiła do szpitala. Za czyny te została dwukrotnie odznaczona Krzyżem Walecznych. Jeszcze w okresie rekonwalescencji zapisała się do Lwowskiej Szkoły Przemysłowej, w której wykładał Kazimierz Sichulski. Zarabiała na życie, pomagając w lwowskim biurze „Orbisu”, którego nazwa narodziła się w mieszkaniu państwa Klimkowskich. Sukcesem życiowym było uzyskanie w 1923 r.

indeksu Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie studiowała w pracowniach takich mistrzów, jak: Włodzimierz Jarocki, Fryderyk Pautsch, Wojciech Weiss oraz Józef Mehoffer.

Oddajmy teraz głos Pani Stanisławie Klimkowskiej-Bieńkowskiej, która za namową Jerzego Jurczyka i przy jego pomocy spisała swe Wielkanoce w formie swoistego życiorysu.

MOJE WIELKANOCE

Jeśli sięgnę pamięcią do lat dziecińczych, Święta Wielkanocne były dla mnie zawsze ogromnie wzruszające. Mama odgrywała największą rolę. W święta ubierała nas w śliczne sukienki. Ale nie to było najważniejsze. Przed świętami mieszkanie musiało wyglądać czystutko. Szyby okienne pomyte, firanki uprane i wyprasowane, podłogi wypastowane „na glanc”. Mama dyrygowała wszystkim. Pilnowała też, abyśmy szli do spowiedzi i przystępowali do Komunii Świętej. Oczywiście równocześnie trwały przygotowania do uczty świątecznej. W kuchni mama była prawdziwą mistrzynią! Musiałabym bardzo wiele miejsca poświęcić, aby opisać wszystkie specjały — torty, ciastka, babki wielkanocne, wreszcie dania mięsne. Ja lubiłam malować pisanki, chociaż muszę przyznać, że szło mi to nieudolnie. Tatko kupował na każdą Wielkanoc wazonik z pachnącym hiacyntem, przeważnie różowym — dobrze to pamiętam. I jeszcze jedna cząstka chwil radosnych — śmieszny „śmigus-dyngus”. Tak mniej więcej odbywały się Wielkanoce we Lwowie.

W czasie Świąt Wielkanocnych odbywały się także śluby moich sióstr: Zosi z artystą malarzem Mieczysławem Korwin-Piotrowskim (kremnym Gabrieli Zapolskiej, która mieszkała pod nami w kamienicy przy ulicy Gołąba 6) i Hali z inżynierem Napoleonem Cynkiem. Był to okres, gdy sztuki piękne działały na mnie w sposób wręcz podniecający.

Rodzice! Cudowni Rodzice! Byli przykładem zgodnego współżycia pod każdym względem.

Rok 1914 zmienił nasze życie rodzinne w okropny koszmar. Przepadły nasze wielkanocne nastroje i chwile radosnych śmiechów. Wojna zastała nas w Szutromińcach, gdzie całą rodziną (tzn. Ojciec, Matka, Maryla, Wandzia, Stefcia, Adam, Tadeusz, służąca Marynia i ja) byliśmy na wakacjach. Ojciec równocześnie pracował przy budowie kaplicy. Ze Lwowa wyjechaliśmy w upalny dzień ubrani bardzo lekko, gdyż mieliśmy wracać po dwóch miesiącach.

Mobilizacja zmusiła nas do natychmiastowego wyjazdu, zwłaszcza że Wandzia zachorowała na woreczek żółciowy i musiała być operowana. W Zaleszczykach, gdzie zatrzymaliśmy się, operacja niestety nie mogła się odbyć. Pojawiła się jednak w Zaleszczykach możliwość wyjazdu pociągiem do Lwowa. Wnieśliśmy Wandzię na krześle do pociągu. W Kołomyi musieliśmy jednak wysiąść z powodu niemal agonicznego stanu siostry. Zatrzymaliśmy się u państwa Goetzów, aby przeczekać kryzys Wandzi. Dowiedzieliśmy się tam, że „nasz” pociąg do Lwowa nie dotarł.

Rok 1915. Budzi nas okropna kanonada. Okrutna wojna, armaty na ulicach. Front bez przerwy się przemieszcza. Raz w mieście są Austriacy, a za chwilę wpadają Rosjanie. Kiedy Rosjanie się wycofują, wkraczają Austriacy, i tak bez przerwy. Jako ostatni zatrzymaliśmy się tu Austriacy wraz ze szpitalem polowym. Natychmiast zgłosiliśmy Wandzię do operacji. Słynny chirurg, dr Maksymilian Rutkowski, przyjął Wandzię, jednak nie podjął się od razu operacji. Siostra była zbyt słaba i należało ją trochę odkarmić. Zdecydowałam się zostać w



Artystka w latach młodości

szpitalu i pilnować jej. Po trzech dniach jednak nadszedł rozkaz opuszczania miasta. Szpital odjechał z rannymi, a ja zostałam z siostrą. Przywiozłam ją do domu, w którym mieszkaliśmy. Poczczywo dorożkarz pomógł ją wnieść. Za tydzień szpital austriacki wrócił i Wandzia została szczęśliwie zoperowana. Dr Rutkowski poradził mi, abym została sanitariuszką. Mamę zaangażował jako kierowniczkę kuchni szpitala garnizonowego. Marylę i Stefcie zatrudnił w administracji szpitalnej (znaliśmy język niemiecki). Zostałam więc sanitariuszką polową i naturalnie Wielkanoc spędziłam w szpitalach.

Rok 1916. Ucieczka na Węgry. Okropna tułaczka. Był okres Wielkanocny, gdy zatrzymaliśmy się w Huszcie wśród strasznej ulewy, głodni, zmarznięci, bez dachu nad głową. W Huszcie zgłosiliśmy się do szpitala. Ja zostałam sanitariuszką. Mama przy kuchni, a Maryla, Wandzia i Stefcia w administracji szpitala.

W 1917 roku nadal jesteśmy w szpitalu. Kolejna ewakuacja — mieszkamy w baraku wśród strasznej nędzy i rozpacz. Podczas Wielkanocy zostajemy zwolnieni, wyjeżdżamy do Lwowa.

Rok 1918. Zostaję ciężko ranna w ramię, płuca i obie nogi (w jedną trafiła mnie kula dum-dum).

Rok 1919. W łóżku. Straszne bóle i strach przed amputacją nogi. Nie pamiętam, czy obchodziliśmy Wielkanoc. Zaczynam chodzić o kulach.

W roku 1920 bardzo uroczystie obchodzimy Święta Wielkanocne. Pałaszujemy bardzo dobre smakołyki. Głośno śpiewamy Alleluja! Alleluja! Tylko Tatko nie może śpiewać — choruje na serce.

Rok 1921. Śmierć Ojca. Wielkanoc przeszła wśród wspomnień i smutku.

Rok 1922. Wielkanoc spędzam w gronie rodziny. Maluję pisanki, ale jestem już pod wpływem huculszczyny.

Rok 1923. Obchodzimy Wielkanoc w bardzo przyjemnym nastroju i radości z powodu przyjęcia mnie do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Lata 1924—1925. Wielkanoc w Paryżu. Jestem okrutnie głodna. Kolega Janisch przyniósł rybkę w papierku. Zjedliśmy ją uroczystie i poszliśmy na koncert do Sórby.



Autoportret

Tam zrobiło mi się bardzo słabo. Jurek wyprowadził mnie na powietrze. Postanowiliśmy pojechać do koleżanek i kolegów (Żydów), gdzie spodziewaliśmy się dostać coś do jedzenia. Zastaliśmy ich przy suto zastawionym stole śpiewających: Alleluja! Alleluja!

Rok 1926. Wielkanoc we Lwowie w wesołym, rodzinnym nastroju. Siostra Zosia czuła się źle i nie świętowała z nami.

Rok 1927. Zosia umarła właśnie w okresie Wielkanocy. W roku 1928 nie obchodziliśmy Wielkanocy z powodu mojego nieszczęśliwego porodu.

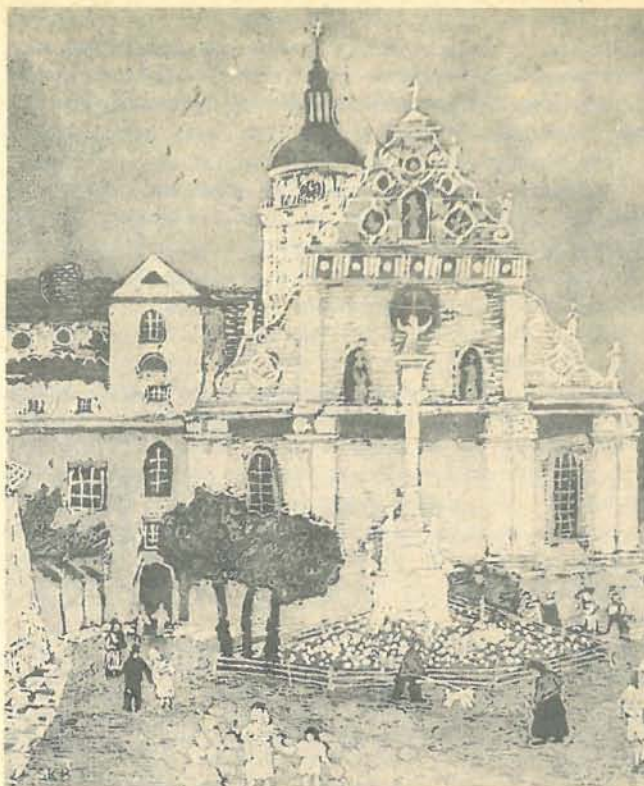
Rok 1929. Jestem chora na żółtaczkę. Nikt nie myśli o urządzaniu Świąt Wielkanocnych.

Wielkanoc w 1930 spędzam we Włoszech. Obchodzę muzea, dużo wrażeń. Podziwiam sakralne obrazy i rzeźby, tematycznie często związane z Wielkanocą.

Rok 1931. Jestem w domu, we Lwowie. Maluję pisanki.

Lata 1932—1939. Maluję kościoły. Na Wielkanoc przyjeżdżam do domu. Spędzamy ją normalnie: idziemy do kościoła, a potem uczta z matczynymi przysmakami. Mamcia jak może, stara się, aby święta były bardzo uroczyste w związku z odkupieniem naszych grzechów.

Lata 1940—1945. Wielkanocę wpływają wśród dramatów, rozpacz, aresztowań, wywózek do obozów, śmier-



Lwów na jednym z obrazów

ci w komorach gazowych, na mordowaniu dzieci i niewinnych ludzi. Śmierć czai się na każdym kroku. O Wielkanocy nikt nie myśli. Pracuję u Niemca, prowadząc mu dom. Okradam go bez skrępow, aby pomagać innym.

Rok 1946. Jestem w Tarnowie. Wielkanoc spędzam na modlitwach w kościele. Jeszcze nie wróciłam do normalnego życia.

Lata 1947—1956. Rodzina zupełnie rozbita (Lwów, Bytom, Łódź, Warszawa, Tarnów). Skromne święta spędzam wraz z córką, wspominając ciężkie chwile moje i rodziny. Pochłani nas praca — szkolna i twórcza. Modlimy się. Wyjeżdżamy do Szczecina.

Nie wspomnę już dalej o Wielkanocy, gdy przestała być dla mnie radosnym świętem rodzinnym. Oczywiście nadal święcimy jajka, kupujemy trochę lepszego jedzenia, palmy wielkanocne, lepiej się wysypiamy niż zwykle.

Od zupełnej zagłady spokojnego domowego życia ratuje mnie praca twórcza — malarstwo sztalugowe, ściennie, plenery. Cieszy mnie przyjaźń kolegów plastyków i radują nagrody oraz odznaczenia.

Praca twórcza oddaliła beznadziejność mego życia. Sztuka uspokaja mnie i godzi z rzeczywistością.

Stanisława Klimkowska-Bieńkowska

EDWARD GIL

Kłęknałem całując umęczoną Ziemie Lwowską

Po wielkich trudach mogłem wsiąść w pociąg do Przemyśla, skąd już o krok najdroższa mi ziemia dzieciństwa mojego, ziemia moich przodków ze śladami ich życia i śladami wieczności.

Gdy w 1945 roku opuszczaliśmy najdroższe nam strony, byłem małym chłopcem. Szczątkowo utrwaliły mi

się w pamięci dni grozy, strachu, mordów, ucieczek i łun pożarów. Echo tych wydarzeń do dziś niesie w mojej pamięci trwogę — „O Jezu, mordują!”

Teraz, siedząc na przemyskim peronie, rozmyślałem o tym mieście — po Lwowie najpiękniejszym. Tu po raz pierwszy usłyszałem z głośnika nasz piękny Hymn Polski, zobaczyłem pierwsze polskie pieniądze. Na przemyskim rynku pod kasztanami przeżywalimy drugi Sybir. Tu z głośnika usłyszeliśmy w komunikacie o poszukiwaniach PCK, że nasz Ojciec żyje!

W pamięci utrwalił mi się ponury gmach byłego kryminału, w którego celach umieszczono „uciekierów” — tak nas wtedy nazywano. Na transport na Zachód czekaliśmy w Przemyśle 3 miesiące. U krańca rozpacz, gdy przymieraliśmy głodem, mamusia podjęła szaleń-

czą myśl, aby utopić się z nami, trójką małych dzieci, w Sanie. Uprzednio jednak poszła do pobliskiego kościoła oo. Franciszkanów, gdzie klękawszy przy konfesjonale wyznała swoje myśli. Dobry, rozumny spowiednik szybko wyperswadował — „przeszłaś taką tragedię i teraz, skoro budzi się nowe życie...”.

Wychodząc z kościoła, usłyszała komunikat, że poszukuje nas ojciec, który był na wojnie. Omdlała upadła. Dobrzy ludzie w Żurawicy pomogli nam przeżyć. Teraz, gdy jestem w Przemyślu, gorąco dziękuję Niepokalanej u oo. Franciszkanów za opiekę i dar łaski przetrwania.

Moje rozmyślenia przerwał głośnik, oznajmiając o podstawieniu pociągu do Lwowa. Ścisk okropny — wiadomo, lato i ferie. Jest sierpień, żar leje się z nieba. Jeszcze kontrola i wreszcie znalazłem się w pociągu jakże innym od tego, co znamy. Okna zamknięte naглуcho, siedzenia twarde i to ma być ten pociąg międzynarodowy? W każdym wagonie konduktor. Odmienność trudna do zaakceptowania. Pociąg ruszył. Wierzący w Opatrzność uczynili znaki zbawienia. Ja ze szczególną gorliwością polecałem się obronie Pani naszej, Świętej Maryi.

Medyka, pociąg zbliżał się do granicy, gdy w głośnikach jak na ironię usłyszeliśmy jakieś skoczne, ukraińskie melodyjki. Pociąg stał dość długo, gdyż w tym czasie mali skończoności żołnierze kontrolowali bardzo skrupulatnie każdy zakamarek. Nieopodal była Polska, a dzieliły ją od nas druty kolczaste, pole graniczne i straż na wieżyczkach. Tu też była Polska, już nie nasza. Mościska. Nowoczesna stacja. Kilkunastu pasażerów w asyście celników opuściło nasz pociąg. Starszy pan obok powiedział — „ta panie, ta to nie granice się zdobywa, ta to jest twierdza”. Ruszyliśmy po długim oczekiwaniu. Na tle mijanych krajobrazów odnajdywałem w oddali znaki polskości — kościoły. Kolejno odczytywałem na mijanych stacyjkach: „Sudowaja Wysznia” — „Rodatycz” — „Gorodok” — „Chołodnaja Woda”. Zbliżaliśmy się do celu mojej podróży. Myślałem o tym, że pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić we Lwowie, będzie oddanie hołdu miastu.

Pociąg wjechał pod zadaszenie krytego dworca, przypominającego dworzec we Wrocławiu. Nareszcie mogłem stanąć na peronie lwowskiego dworca — byłem we Lwowie! Z głośnika podano: „Lwiw, hołownyj wagzał”. Skierowałem się do tunelu prowadzącego do budynku dworca i wyjścia do miasta. Z tunelu powiało „wozduchami”, pomieszany smrodliwym odorem, od którego można było paść na miejscu. Nasze krajowe, niewymyślne wody kwiatowe w tym miejscu zaczynały kojarzyć się z zapachami wręcz fantastycznymi. Można było myśleć tylko o jednym — jak najszybciej znaleźć się przed dworcem i odetchnąć powietrzem, wreszcie lwowskim powietrzem. Gnany tym odczuciem przebyłem tunel i oczom moim ukazał się tłum złożony z różnych narodowości. Nie było mowy o tym, by w tym miejscu i scenerii zrealizować myśli z pociągu i godnie spełnić powinność wobec ziemi lwowskiej.

Pamiętna ulica Gródecka teraz nosi nazwę Pierwego Maja. Kierując się dokładnymi opisami rodziców, nie miałem żadnych trudności z dotarciem do cioci, na Lewandówkę. W dzieciństwie spędzałem większość czasu z kolegami z mieszanych rodzin polsko-ruskich i zdawało mi się, że dostatecznie opanowałem ruską mowę, co przy mojej lwowskiej gadatliwości miało ułatwić kontakty u celu podróży.

Po przybyciu na ziemię obiecaną dzieciństwa tu we Lwowie opisane wyżej mniemanie zawiodło. Odjęło mi moją gadatliwość i zapomniałem przysłowiowego języka w gębie. Ciocia nie była uprzedzona o moim przyjeździe, a znała mnie jako małe dziecko sprzed wojny

i teraz pukając do drzwi „kwartiry” nie bardzo wiedziałem, od czego zacząć i jak się przedstawić. Po uchyleniu drzwi wymamrotałem „dzień dobry” i zacząłem coś bąkać, na co usłyszałem: „Oleś, chodź, syn Józka, ten maleńki, przyjechał”. A przed ciocią stało przecież wysokie, podobne do Cygana chłopisko, w niczym nie przypominające przywoływane w tym momencie osoby. Oleś, czyli wujek, wycalał mnie „z dubeltówki”, po czym z ciocią jednogłośnie stwierdzili, że jestem wykupany Józek (mój ojciec). „Ta my by ciebie bez przedstawiania od razu poznali” — chłonałem balsam dla lwowskiego ucha. Nie obeszło się bez pytań co przywoziłem, gdyż żeby przeżyć, każdy jest tam zmuszony wykorzystywać najmniejszą szansę „zrobienia interesu” (wujek, emerytowany kolejarz, otrzymywał 60 rubli emerytury z dodatkiem 15 rubli na ciocię).

Zwierzyłem się ze swoich planów pobytu, gdyż każdy z dni chciałem wykorzystać godnie, chodząc rodzinnymi śladami i odwiedzając miejsca bliskie przodkom. W rodzinnej atmosferze ciocia zwróciła mi uwagę, że wchodząc do ich „kwartiry” nie pochwaliłem Pana Boga. Zrobiło mi się głupio. W Polsce mało używamy obecnie tego staropolskiego pozdrowienia, więc nie sądziłem, że właśnie tu jest inaczej w tym względzie. Później stwierdziłem, że każdy gość wchodzący do domu wujostwa już od progu głośno wołał: „Niech będzie pochwalony...” Jadąc do Lwowa kupiłem kilka srebrnych medalików, parę różańców i modlitewnik z zamysłem podarowania rodzinie. Jak się okazało, rodzina była dobrze zaopatrzona w przedwojenne jeszcze, ze szczególnym sentymentem przechowywane i otoczone swoistym kultem relikwie.

Drugi dzień wizyty rozpoczął się stwierdzeniem cioci, że z racji święta „Zielnej” idziemy na odpust do Katedry. Jadąc tramwajem na odpust, oczu nie mogłem oderwać od bliskich sercu widoków z mnogością mieszanych, mocnych uczuć i odczuć, o przyczynach których napiszę dalej. Wkrótce znaleźliśmy się w Katedrze, z zewnątrz podobnej do przemyskiej. Ciocia z wujem poszli do swojej ławki, a ja chcąc być bliżej ołtarza, ulokowałem się w pomieszczeniu przy zakrystii. W miejscu, gdzie byłem, starsza pani zbierała przy stole ofiarę na Mszę Świętą. Ludzi było bardzo dużo. Przecisnąłem się w pobliże otworu drzwiowego, aby widzieć ołtarz. Siwiuteńki kapłan odwrócony tyłem do wiernych sprawował Najświętszą Ofiarę. Od ołtarza do drzwi wejściowych w środku Katedry ujrzałem kilkadziesiąt par nowożeńców. Stali w przepięknych strojach ślubnych. Panny młode, porównując z polskim zwyczajem, miały na głowach niespotykanej wielkości i kolorystyki wianki. Jak się okazało, żeby wziąć ślub katolicki, jechali po 200 kilometrów do najbliższego kościoła. Byli to rzymsko- i greko-katolicy aż spod granicy rumuńskiej. Pomyślałem, że udzielenie tylu ślubów potrwa do wieczora. Myliłem się. Kościelni, a było ich kilku, po podaniu sobie przez nowożeńców rąk, owijali każdej parze połączone prawice i wówczas siwiuteńki kapłan po skończonym *Veniceator* rozpoczął rotę przysięgi, a każde z nowożeńców wymieniało imię tego, komu składało wieczyste śluby. Trwało to zaledwie 15 minut, po czym ksiądz powrócił do liturgii Mszy Świętej. Podczas całej Mszy wszyscy w kościele klęczeli, a stali tylko podczas Ewangelii i kazania. Wielu, łącznie z kościelnymi, zwracało mi uwagę, że powinienem klęczeć, gdy stałem, przyzwyczajony do polskiej praktyki, że klęka się podczas Podniesienia i *Baranku Boży*. Tamtejszy naród jest bardzo rozmodlony i w tej atmosferze we Lwowie pogłębiałem swoją wiarę w Matkę Najświętszą i Jej Syna.

W trakcie opisywanej Mszy Świętej obok mnie klęczało dwoje małych dzieci w wieku 4—5 lat, z matką. Żarliwie wymawiały słowa modlitwy, mając ręce nabożnie złożone. Widziałem, jak serdecznie przeżywały obecność w miejscu świętym. Wzruszony odczułem potrzebę wręczenia tym dzieciom medalików na pamiątkę. Klęcząc przygotowałem medaliki i dałem im do rączek, a zdziwionej matce wręczyłem różaniec mówiąc przy tym, że różaniec i medaliki są poświęcone. Nie zdążyłem cofnąć ręki, gdy kobieta w podzięcie, ze łzami w oczach, pocałowała ją.

Pozostając w tym nastroju, poprosiłem przechodzącego z tacą kościelnego, aby przyprowadził kogoś znajomego, nie posiadającego książeczki do nabożeństwa, chciałem ją komuś ofiarować. Po Sumie tenże kościelny przyprowadził chórzystkę, panią Stefanię Binkiewicz, której z odręcną dedykacją wręczyłem modlitewnik z pieśniami. Sytuacja ta dała początek nowym znajomościom, gdyż zapoznałem się bliżej z panią Stefanią i z kościelnym — Staszkiem. Staszek czekał „dopiero” 20 lat na przyjęcie i miejsce w seminarium duchownym w Rydze. Stefania pracowała w fabryce produkującej telewizory jako biegła od złotych części niezbędnych do produkcji.

Znajomość rzeczy przez Stefanię spożytkowaliśmy praktycznie, chroniąc się przed kupnem tombaku precyzyjnie przygotowanego dla „Lachiw”. Znajomość ze Stefanią okazała się nieoceniona, gdyż w następstwie mojej prośby rozmawiała ze mną przeważnie po rusku, żebym mógł samodzielnie poruszać się po Lwowie. Poprosiłem ją również o pokazanie mi Lwowa nocą, co pozwoliło mi poznać przepiękne i niezapomniane widoki ukochanego miasta. Wędrowki nocne jego ulicami trwały często aż do świtu. W rezultacie moja biegła orzekła, że całkiem dobrze rozmawiam językiem potocznym. Później, już w Polsce dowiedziałem się, że Stefci (nie sposób było trwać przy Stefanii) aresztowało NKWD za podejrzaną przynależność do nielegalnej organizacji polskiej. Podczas ponownego pobytu we Lwowie nie byłem w stanie ustalić danych o Stefci, o co została ostatecznie oskarżona, jaką dostała karę i gdzie ją odbywa.

Zaopatrzony w informacje rodzinne, jak tramwajem dojechać na Łyczaków, następnego dnia stanąłem przed znaną mi dobrze z fotografii bramą cmentarza Łyczakowskiego. Zaraz też dołączyłem do grupy jakiejś wycieczki znad Donu i kolejno stawałem przed grobami: autorki *Roty*, o dwa groby dalej — Gabrieli Zapolskiej, dalej grób Ordona i Gósczyńskiego i wreszcie twórcy ponadczasowego elementarza — *Kto ty jesteś? Polak mały*. Zamiatacza cmentarnego zapytałem, którędy dojść do cmentarza Obrońców Lwowa — Orląt Lwowskich. Wskazał „priamo”, więc zacząłem wspinać się pod górkę, gdzie znalazłem się na bezludziu porośniętym krzakami tak gęstymi, że z trudnością przedzierałem się przez nie. W końcu stanąłem wśród zniszczonych grobów i krzyży powstańców listopadowych i styczniowych. Odmówiłem modlitwę i nie osiągnąwszy celu wyprawy, wróciłem pod bramę. Dopiero 2 ruble wciśnięte zamiataczowi do ręki pozwoliły znaleźć właściwy kierunek poszukiwań. Przechodząc przez rozwalony mur, znalazłem się na jakimś placu, gdzie w barakach był zakład wyrobu nagrobków. Rozglądając się zobaczyłem znany mi z fotografii Panteon, a raczej jego żalosne szczątki. Groby zrównane z ziemią, ślady wypasania bydła i pijackich uczt. Daremnie próbowałem ustalić miejsce wiecznego spoczynku brata mojej mamusi, Obrońcy Lwowa, który zginął z uśmiechem na ustach w pamiętnych dla Polski i Lwowa dniach, gdy świeża Niepodległość.

Na cmentarz Janowski wybrałem się z wujkiem i jego synem Kazimierzem. Wujek dorabiał na cmentarzu murarką grobowców. Tam, niedaleko głównej bramy, przy centralnej alejce, zobaczyłem tonący w kwiatkach prosty, zwyczajny grób arcybiskupa J. Bilczewskiego. Kwatery żołnierska z 1939 r. w takim samym stanie, jak cmentarz Orląt.

Na cmentarzu Janowskim po raz pierwszy zobaczyłem pogrzeb żydowski. Był bardzo skromny. Mężczyźni, uczestnicy pogrzebu, byli w czapkach. Rabin bez szat liturgicznych, wpatrzony w niebo, głośno po hebrajsku śpiewał psalmy. Głos ten był przejmujący, sprawiał wrażenie jęku bólu i skargi. Z Kazikiem weszliśmy w alejkę grobów żydowskich. Ze zdziwieniem ujrzałem nad grobami starozakonnych olbrzymie stalowe klatki, zamknięte na duże zamki i kłódki. „To zabezpieczenie przed profanacją” — wyjaśnił mi Kazik. Na każdym nagrobku gwiazda Syjonu i hebrajskie napisy.

Następnym miejscem mojego zwiedzania był Wysoki Zamek. Chcąc zobaczyć przepiękną panoramę Lwowa, trzeba się w tym miejscu trochę natrudzić. Mówiono mi, że w pogodny dzień można gołym okiem zobaczyć stąd katedrę przemyską. Idąc z Wysokiego Zamku, skierowałem się na stację Podzamcze, szukając wytrwale znaków polskości. Koło wiaduktu, na kamienicy, za żelazną rynną odczytałem emaliowaną tabliczkę: „ul. Tatarska”.

Pisząc na początku o mieszanych uczuciach podczas oglądania lwowskich ulic, miałem na myśli ich stan techniczny. Ulice były z tak dużymi wybojami i dziurami, że zdziwiłem się, jak w ogóle mogą się nimi poruszać pojazdy.

Z placu przed dworcem widać było drewnianą dużą cerkiew z wejściem zadrutowanym drutem kolczastym. Z tego miejsca jakimś „pojezdem” chciałem dojechać do centrum, a tu ani tramwaju, ani taxi. Wreszcie podjechała oznakowana wołga z napisem „taxi”. Kilka stojących bliżej osób rzuciło się do niej. Kierowca coś im powiedział, co spowodowało, że nie podejmowali więcej prób wsiadania. Pomyślałem, że na kogoś czeka. Po chwili mimo to podszedłem do kierowcy i zapytałem: „Grażdanin, bud’ łaskaw na centralny wagał”. Skinął ręką i za chwilę siedziałem obok niego. Czystą polszczyzną zapytał mnie: „Gdzie zawieźć szanownego pana?” Zamurowało mnie. Przecież nie mam na czole napisane, że jestem Polakiem. „A po czym mnie pan poznał, że jestem z Polski” — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. „A po mesztach panie, po mesztach”. Faktycznie, na nogach miałem „meszty” na zelówkach ze skóry z blaszkami na obcasach, podczas gdy miejscowi chodzili tylko na gumowych spódach. „Skoro tak, to jedź pan historycznymi ulicami”. W czasie jazdy zapytałem, czy jest Polakiem, i ku mojemu zdziwieniu usłyszałem, że nie. Zaprzeczył również, gdy spytałem, czy jest Ukraińcem. Mówił po polsku lepiej niż niektórzy rodacy w Polsce i to mnie bardzo zastanawiało. Jechał wolno i przy mijanych gmachach i kościołach objaśniał mi ich przeznaczenie i nazwy z czasów polskich. Po przyjeździe na dworzec główny popatrzyłem na taksometr. Wskazywał 60 kopiejek. Dla pewności zapytałem ile płace, na co odpowiedział, że 2 ruble, które mu wręczyłem. „To powiedz pan, jakiej jesteś narodowości, znając tak dobrze język polski?” — zapytałem wiedziony ciekawością. „Panie, ja jestem polski Żyd, a zauważyłem, że popatrzył pan na taksometr. Doliczyłem za to, że rozmawiam z szanownym panem w obcym języku”. Tak sobie skalkulował jazdę polski Żyd, który był w moim wieku.

Idąc do dworca ulicą Gródecką, znalazłem się na roz-

widzeniu ulic koło budowli kościelnej. „Aha, to kościół Sw. Anny”. Na kościele szyld: „Mebli”. Wszedłem do środka. Tam gdzie powinny być ławki stało kilka segmentów meblowych. Ołtarz przykryty papierami, a przy nim jakiś zestaw mebli kuchennych. Kupujących jak wszędzie. Na schodkach przy ołtarzu nogi same ugięły się pod mną i klęknąłem odmawiając modlitwę. Ten moment był dla mnie jednocześnie spełnieniem hołdu,

oddanego umęczonemu miastu *Semper Fidelis*.

Przechodząc koło kościoła Sw. Elżbiety, zobaczyłem otwarte drzwi wejściowe, to znaczy lekko uchylone drzwi głównego wejścia. Chciałem wejść i zobaczyć wnętrze, gdy z krzykiem „nie! zia” pojawiła się nagle jakaś baba-straszdyło. Trzasnęły drzwi zamknięte przed nosem. Nie dane mi było zobaczyć pięknego i, niestety, sprofanowanego jak inne kościoła.

JERZY JANICKI

Listy do Lwowa

Drogi Zbysku, nie pisałem ostatnio, bo to wszak jeszcze miesiąc nie minął, kiedyś się rozstawali na rogu Zyblikiewicza i Zielonej. Tyś wsiadł w „czwórke”, by pojechać do siebie na Nowy Lwów, a ja choć udałem się w przeciwnym kierunku, też w rezultacie na mój nowy Lwów dotarłem, którym jest od prawie pół wieku Sadyba w Warszawie. Każdy z nas ma tutaj (bo mieć musi) swój nowy Lwów; mój akurat o tyle bardziej swojski, że mam tu pod bokiem i Truskawiecką ulicę, i Morszyńską, więc chociaż nazwy pachną znajomymi stronami. Chociaż nazwy, skoro pachnie nie może prawdziwa truskawiecka „Naftusia”...

Lecz wyobraź sobie, wczoraj wieczorem powiało nagle prawdziwym lwowskim zapachem. Niósł się gdzieś — czy ja wiem — z kasyna Literackiego na Akademickiej, a może od „Atlasy” na Rynku. Niosły go wiersze Hemara. Już od pół roku spotykamy się tu w każdy drugi poniedziałek miesiąca na lwowskich wieczorach literackich. Tak nazywają się oficjalnie, ale stosowniej — byłoby miano biesiady, bo też uczujemy na nich żarliwie i chciwie, pragnienie gasząc rymami, głód prozą. Menu bywa nie byle jakie, bośmy już zdążyli nasycić się Zbierzchowskim i Zahradnikiem, a i serwisanci też doborowi, bo Hollendra podawał osobiście sam Mirosław Żuławski, przyjaciel poety ze szkolnej ławy i z atlasowej beczki. A wczoraj serwowano Hemara. Recytowała Joanna Szczepkowska. Ta sama śliczna Joasia, która parę miesięcy temu zasłynęła swym pamiętnym oświadczeniem w telewizyjnym (jeszcze) „Dzienniku”. „Proszę państwa, mam niesłychaną wiadomość: 4 czerwca skończyła się w Polsce komuna!”

Ale nie dlatego na nią padł wybór prezentacji tego najbardziej lwowskiego z lwowskich poetów. Jej parantele lwowskie są nie byle jakie: primo — jest córką nie mniej sławnego ojca Andrzeja, dziś senatora, a z naszych czasów maturzysty IV Gimnazjum na Nikorowicza, secundo — jest wnuczką tego, co niebo w płomieniach nad Wysokim Zamkiem Teofilowi Grodzickiemu rozpałił — słowem — Jana Parandowskiego.

Jak ona tego Hemara mówiła! Przymknąć oczy, a rymy pluszczą jak fontanna na Wałach przy Matki Bożej figurce, a strofy suną jak „jedynka” na Focha, a kadencje wybijane jak przez zegar na bernardyńskiej wieży. Aż strach rozewrzeć powieki. Ulica Grzybowska, dwunastopiętrowe potworki jak suche badyle powitykane na pustyni, na pół ślepe neonowe żarówki, grzechot pralni chemicznej na dole, biedna Joasia na podium otulona w płaszczyk, bo sala Domu Kultury nieogrzana, ziąb... Więc nas jeszcze jednym chce ogrzać i mówi o tych, co zapomnieli o Lwowie. A więc jeden zapomniał, bo młody, drugi z trosk codziennych, trzeci bo mu się powiodło, inny bo zangliczał, a siódmy...

Siódmy, niech tylko trochę wypije
Już — „kuma dryja!” i „w dzień deszczowy”,
I Bernardyński plac w nocy mija,
I w ten cylinder — paf! Rozczulony
Że Telickowa już się pakuje.
Siada w pociąg! Wraca do Lwowa!
I już się śmieje, i już mu dobrze,
Już się weseli.
A on najgorzej zapomniał z wszystkich
Co zapomnieli.

To Zbysiu, niestety, do nas wszystkich skierowana ta strofa. Śpiewamy sobie o Stryjskim parku, palcem wodzimy po starym planie Horbaya, ze snu wyrwani na pamięć, jak dziesięcioro przykazań, recytujemy lewe i prawe bocznicę Łyczakowskiej, jakimś kawiarniom przybijamy tabliczki, że to niby odtąd „U Szczepka i Tońka”, jakieś kina nazywamy „Lwowem”, a uliczki „Orłętami”. Że niby pamiętamy. A pamięć, Zbysiu, to strych, na który wyrzucamy niepotrzebne już nikomu rupiecie. Tam je pajęczyna czasu osnuje, kurz zapomnienia osiędzie. I jeśli nawet ze strychowej banicji powróci jakiś bibelot czy stara kanapa, to już i tak zdobić będzie inny pokój, w innej chawirze i na innej ulicy. Włazimy na ten strych — pamięć dla własnej wygody, dla komfortu własnego sumienia. Że pamiętamy. A tu nie podśpiewywać trzeba, a będąc z wycieczką we Lwowie chwycić się za szpadel i odwalić choćby cztery łopaty gruzu pokrywającego wciąż jeszcze dalsze kwatery cmentarza Orłąt. „EnergoPol” ustawił tam pakamerę pełną kilofów, łopat, szpadli i tacek. Właśnie dla takiego, co niby tak pamięta, a „najgorzej ze wszystkich zapomniał”. A tu do kieszeni sięgnąć nie po chusteczkę, by w nią smarkać bez ustanku z tęsknoty, a po „pugilares” i parę szóstaków wygrzebać na kościół Sw. Elżbiety, bo go przecież ani Ty Zbysiu, ani paru innych, co zostali, sami, bez nas, nie odbudujecie. A tu trzeba jednym i drugim ministrem potrząsnąć, żeby astronomiczne opłaty zniósł na paczki, które wysyłamy do Was, bo w tych paczkach nie dżinsy są popakowane i cienie do powiek, ale katechizm, elementarz, polskie słowo jest w nie popakowane. I to w końcu każdy minister-Polak musi zrozumieć, choćby nie wiem jak mu polskich brakowało złotych.

Piszesz, żeby Ci przysłać *Wyszedłem z mroku Bilewicza*. Wczoraj kupiłem. Już z pierwszej strony wynika, że mieszkał na Łyczakowskiej 177, więc już za kościołem, powyżej nas obu, ale kto wie — możemy go znali, kto wie, cuda bywają. Ot, choćby taki. Niedawno pokazywałem w telewizji niektóre zdjęcia, jakie nadesłano na konkurs „Lwowiacy i ich miasto”. To będzie wielka pompa! Patronat nad konkursem objęła pani minister kultury i sztuki, eksponować będzie nie byle kto, bo „Zachęta”. Otrzepano więc z kurzu albumy babuni. Jakiś pan doktor z Bydgoszczy nadesłał oryginalne zdjęcia, wyobraź sobie, Zofii Telickowej. Ty tam teraz, kiedy przechodzisz Akademicką, możesz najwyżej kupić sobie buty, ale nie Tobie tłumaczyć, że

lepszych flaczków, jak tam, nie było nigdzie na tym bożym świecie. I naraz telefon: mówi Zofia Teliczek. Mniej bym się zdziwił, gdybym usłyszał, że mówi Kazimierz Wielki. A to tymczasem synowa królowej flaczków. Mieszka, a jakże, w Warszawie, na Żoliborzu, jest członkiem TML. A teraz podniecona pyta, skąd ten konterfekt aż w Bydgoszczy? Teściową NKWD wywiozło do Kazachstanu, wszelki ślad po niej zaginął, więc może jakiś trop odnajdzie teraz nad Brdą? Akademicka, Kazachstan, Bydgoszcz, cóż za geografia polskiego, a właściwie lwowskiego losu...

I jeśli już o tym mowa, to wiedz, że ten los lwowski i oceany przepłynął. Zaraz po tym liście do Ciebie muszę pisać następny. Do Brazylii, do pani Basi Sieradzkiej, z domu Biłkównej. Dobrze, że dodałem to „de domo”, bo już widzę, jak Cię tam na Persenkówce podrzuciło do góry. Biłyk, Biłyk, ten sam. Ostatni wojewoda lwowski. Cóż wiedzieliśmy dotąd o Brazylii? Że kawa, że Pele, ale żeby wojewodzianka lwowska? Otóż tak było...

Przywiozła mi w zeszłym roku z Sao Paulo kserokopie ostatniego listu ojca, a właściwie testament (oryginał przechowywany jest w Instytucie im. Sikorskiego w Londynie), sporządzony w konsulacie polskim w Munkaczu na Węgrzech 19 września 1939 roku. Jeszcze parę dni przedtem dr Alfred Biłyk wzywał z rozgłosu przy Batorego ludność, by nie opuszczała miasta, w którym wraz z nią i on zostanie do końca.

Pięćdziesiąt lat, równe pół wieku trwało pewnie u Ciebie przekonanie, że wojewoda słowa nie dotrzymał. Owóż w tamtych dramatycznych dniach zjawił się we Lwowie premier Sławoj-Składkowski, który rozkazywał Biłkowi udać się do Kut, gdzie wówczas stacjonował rząd. Wojewoda, acz wbrew własnej woli, rozkaz wypełnił, tyle że z Kut skierowano go dalej, właśnie do Munkacza na Węgrzech.

Dwukrotnie podejmował próbę przedarcia się na powrót do Lwowa, a kiedy okazało się to niemożliwe, zasiadł w konsulacie do napisania listu, po czym strzałem w głowę odebrał sobie życie. Na biurku pozostał list, który leży w tej chwili przede mną. Brzmi zaś tak:

„Do całej Polski i wszystkich Polaków za pośrednictwem Poselstwa Polskiego w Budapeszcie! Mówiłem: »Aby Polska była, muszą ginąć jej synowie«. Mówiłem: »Będziemy ginęli i dzieci nasze — będzie żyła Polska«. Nie mogłem walczyć we Lwowie, gdyż zgodnie z wytycznymi szefa rządu opuściłem go w warunkach, które mogą słowa moje postawić w pozornej sprzeczności z tym czynem. W ten sposób znalazłem się na emigracji. Dalsze moje życie zdaje się nie przedstawiać wartości dla Polski [...] Proszę, aby te moje słowa były rozgłaszane, aby niekniętym został mój honor. Przede wszystkim niech otrzyma o tym wiadomość Wódz Naczelny Smigły Rydz, gen. Składkowski i moje miasto Lwów. Podpisano: Alfred Biłyk — wojewoda lwowski, Munkacz 19 IX 1939”:

W kwadrans po napisaniu tego listu już nie żył. Pół wieku musiało upłynąć, by jego miasto Lwów, jak chciał, dowiedziało się z tej mojej korespondencji, do jakiego stopnia był Alfred Biłyk *semper fidelis* i miastu, i pojęciu tak dziś nieznanemu, jak honor.

Jeżeli jutro przypadkiem iść będziesz Podwalem, zerknij w okna dawnego województwa, ewentualnie zdejm kapelusz. Warto. Tyle że Ty sam właściwie co krok musiałbyś po tę czapkę sięgać. Więc poczekaj, zrobimy to wspólnie w kwietniu, bo znów się do Ciebie wybieram. A po co — doniosę w następnym liście.

Twój Jurek

Warszawa, luty 90

Dary dla Izby Pamięci A. Fredry w Beńkowej Wiszni

Z upoważnienia Konsulatu Polskiego we Lwowie zwracam się z prośbą o nadsyłanie darów dla organizowanej Izby Pamięci Aleksandra Fredry w Beńkowej Wiszni (parafia Rudki k/Gródka Jagiellońskiego).

W pałacu rodziny Fredrów mieści się obecnie technikum weterynaryjne. Dyrektor szkoły oddaje dwa pomieszczenia na urządzenie Izby Pamięci Aleksandra Fredry. Wyposażenie tej placówki spoczywa na Polakach — pochodzących zwłaszcza z tamtych stron. Będzie to pierwsza tego rodzaju polska placówka kulturalna na Ukrainie.

Red. Lena Kaletowa na łamach „Gazety Robotniczej” (5 I 1990) w artykule *Pamiętki dla Fredry* zwróciła się z apelem o nadsyłanie eksponatów dla tworzącego się muzeum Aleksandra Fredry. Ponawiam ten apel i proszę:

— kapłanów, o dary w postaci ilustrowanych katechizmów, modlitewników, książek religijnych i albumów z pielgrzymek Ojca Świętego Jana Pawła II,

— nauczycieli, o książki (zwłaszcza komedie Fredry) oraz elementarze i podręczniki do nauczania początkowego języka polskiego,

— dawnych mieszkańców parafii Rudki, o zdjęcia z uroczystości religijnych i patriotycznych oraz osobiste wspomnienia (pisanie ręcznie lub na maszynie),

— wszystkich, o jakiegokolwiek polskie książki (np. bajki dla dzieci), przedstawiające jednak jakąś wartość treściową i artystyczną.

Każda z tych pamiętek niech będzie zaopatrzona w dedykację z adresem:

„Dar dla Izby Pamięci Aleksandra Fredry w Beńkowej Wiszni od ...” — tu imię i nazwisko, adres i ewentualnie pieczęć instytucji.

Otwarcie Izby Pamięci nastąpi w niedzielę 13 maja br.,

w rocznicę otwarcia kościoła parafialnego w Rudkach. Po Mszy Św. o godz. 14.30 udamy się do odległego 2 km pałacu, gdzie odbędzie się wspomniana uroczystość.

Ponieważ dary będą przewiezione zaraz po Wielkanocy, bardzo proszę o możliwie szybkie ich nadsyłanie pod niżej podane adresy:

Red. Lena Kaletowa
„Gazeta Robotnicza”
ul. Podwale 62
50-010 Wrocław

Ks. Stanisław Draguła

Niwnik
55-200 Olawa

Księżę proboszczów proszę o rozpropagowanie tej akcji na terenie swoich parafii i o hojne dary. Modlitewniki i książki religijne z Beńkowej Wiszni będą rozprowadzane do innych polskich parafii na terenie Ukrainy. Wszystkie te dary mogą księża składać w Domu Księży Emerytów im. Jana XXIII we Wrocławiu.

„TIMING”

Przewozy do Lwowa i Tarnopola na zaproszenia oraz trzydniowe wycieczki bez zaproszeń. Przekraczanie granicy poza wszelką kolejnością.

Bardzo tanio.

AGENCJA TURYSTYCZNO-USŁUGOWA

„TIMING” Sp. z o.o.

OPOLE, pl. Armii Czerwonej 1, tel. 384-21.

Zapraszamy!

Stanowisko w sprawie odszkodowań

W ostatnich miesiącach redakcje prasy, radia i telewizji otrzymują od ekspatriantów z Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej wiele listów w sprawie odszkodowań za pozostawione tam mienie. Wynika to z faktu, że 31 XII 1990 r. mija ostateczny termin składania wniosków o stosowne rekompensaty. Odpowiedzi na listy bywają w miarę jednakowe. Ograniczają się do wskazania obowiązujących regulacji prawnych, niekiedy zacytowaniem przepisów, a także do pouczania, jakie urzędy administracji państwowej są rzeczowo właściwe do załatwiania tych spraw oraz jak należy roszczenia dokumentować. Nasyceni takimi informacjami zainteresowani udają się do urzędów, po odwiedzeniu których wpadają we wściekłość, piszą kolejne listy, jak ten opublikowany w dzienniku „Rzeczpospolita” z dnia 20 II b.r. W celu ilustracji zjawiska list ten przytaczamy w całości. Czytelniczka pisze:

„Nawiązując do artykułu z dnia 6 II 1990 r. *Bezprawne praktyki* jako jedna z grupy repatriantów uprzejmie się pytam: Kto i kiedy zajmie się wreszcie na serio i ostatecznie roszczeniami repatriacyjnymi? Dlaczego jesteśmy traktowani jak ludzie, którzy dopominają się o coś, co im się nie należy? Niektóre wydziały geodezji nie odpowiadają na nasze podania dotyczące przydziału działek budowlanych. Za mienie pozostawione na wschodzie. Przedłużenie tylko do końca roku ważności roszczeń to pomoc urzędnikom w grze na zwłokę. Czy nie warto się zainteresować tym, w czym to leży interesie? Działki są. Dowód — próba organizowania przetargów.

Kiedys moi rodzice najpierw bali się o cokolwiek dopominać, potem byli zbywani. Teraz ja, wraz z rodzeństwem, czekam na czyjąś łaskę! Dlaczego nie ma spisu działek z funduszu ziemi na każdym terenie, abyśmy nie musieli pisać podań po całej Polsce. Moi rodzice zmarli, wspominając z rozpaczą to, co musieli zostawić, a co było wynikiem ich ciężkiej pracy. My, dzieci, żyliśmy u ich boku i chyba mamy prawo żądać zadośćuczynienia.

W imieniu takich, jak ja, oczekuję rychłego i sprawiedliwego zakończenia sprawy”.

Skąd takie gwałtowne reakcje? Ano stąd, że autorzy redakcyjnych pouczeń nie wspominają o trudnościach, jakie piętrzą się przed zainteresowanymi. Przeciwnie, ich wypowiedzi sugerują, że uzyskanie rekompensaty jest w istocie sprawą łatwą. Wystarczy dopełnić pewnych formalności i zostanie się właścicielem domu, mieszkania bądź działki. Niestety, wizyty w organach administracji państwowej odbierają złudzenia nie tylko co do szybkiego załatwienia sprawy, ale załatwienia jej w ogóle. W czym zatem tkwi problem? Tkwi on w obowiązującym ustawodawstwie, które — wbrew potocznym opiniom — nie przewiduje de facto dla ekspatriantów i ich spadkobierców żadnych odszkodowań finansowych ani obowiązkowych rekompensat materialnych za mienie pozostawione na Wschodzie. Powoływany często przepis art. 88 ust. 1 ustawy z dnia 29 IV 1985 r. o gospodarce gruntami i wywłaszczeniu nieruchomości (tekst jednolity Dz.U. nr 14 z 1989 r.) —

będący główną podstawą roszczeń stanowi, iż: „Na pokrycie opłat za użytkowanie wieczyste lub ceny sprzedaży działki budowlanej oraz ceny sprzedaży położonych na niej domów, budynków lub lokali osobom, które w związku z wojną rozpoczętą w 1939 r. pozostawiły majątek nieruchomy na terenach nie wchodzących w skład obecnego obszaru państwa, a które na mocy umów międzynarodowych zawartych przez państwo mają otrzymać ekwiwalent za mienie pozostawione za granicą, zalicza się wartość mienia nieruchomego pozostawionego za granicą”.

Swoista stylistyka tego tekstu nie powinna przysłaniać jego wewnętrznej sprzeczności; komplikującej podstawę roszczeń ekspatriantów. Z jednej strony przepis głosi, że osoby, które pozostawiły majątek nieruchomy na terenach nie wchodzących w skład obecnego obszaru państwa, mają na mocy umów międzynarodowych otrzymać ekwiwalent za mienie pozostawione za granicą, a więc odszkodowanie materialne. Z drugiej strony przepis ten stanowi, że osobom tym zalicza się wartość pozostawionego mienia na poczet ceny nieruchomości, użytkowanej wieczystie bądź kupionej od państwa. Jak więc jest naprawdę? Czy zainteresowane osoby powinny otrzymać nieruchomości z tytułu rekompensaty czy kupić? Jest to różnica istotna, albowiem z prawnego punktu widzenia ekwiwalent jako odpowiednik odszkodowania można tylko otrzymać, a nigdy kupić. W takiej sytuacji państwo nie mogło by się uchylać od obowiązku wydania ekwiwalentu, jak czynione to jest nagminnie. Jeśli natomiast coś się kupuje — obojętnie czy za gotówkę, czy wskutek dokonanych zarachowań — to nie ma to nic wspólnego z odszkodowaniem. Artykuł 88 ust. 1 w/w ustawy wyraźnie nie odróżnia odszkodowań od umów — sprzedaży, mieszając skutki tych instytucji prawnych. Równocześnie przepis ten zbyt eksponuje formę zapłaty, jaką jest zaliczenie (zarachowanie) wartości mienia, nie mając żadnego merytorycznego znaczenia w sprawie. Innymi słowy art. 88 ust. 1 przywiązuje większe znaczenie do formalnej strony transakcji niż do jej istoty, jaką powinna być rekompensata. W rezultacie osoby zainteresowane są zwodzone w załatwianiu sprawy, karmione obietnicami bez żadnej odpowiedzialności urzędników, w których gestii sprawy te się znajdują.

Nasuwa się pytanie, dlaczego doszło do takiego pomieszczenia pojęć? Odpowiedź jest łatwa, ale wymaga wyjaśnienia w aspekcie historycznym. Otóż pierwsze uregulowania dotyczące rekompensat znajdujemy w art. 9 ust. 1 dekretu z 6 XII 1946 r. o przekazaniu przez państwo mienia nierolniczego na obszarze Ziemi Odzyskanych i b. Wolnego Miasta Gdańska (Dz.U. nr 71 poz. 389). Jego brzmienie było następujące:

„Osobom, które w związku z wojną rozpoczętą we wrześniu 1939 r. pozostawiły mienie nieruchome na tych terenach Rzeczypospolitej Polskiej w jej granicach przedwojennych, które nie weszły w skład obecnego obszaru Państwa, jeżeli osoby te stałe zamieszkiwały na tych terenach przed 1 września 1939 r., jak również osobom, które na mocy umów międzynarodowych zawartych przez Państwo Polskie mają otrzymać ekwiwalent w zamian za mienie pozostawione za granicą — zarachowuje się na pokrycie ceny nabycia lub czynszu dzierżawnego za mienie przekazane im w trybie przepisów niniejszego dekretu wartość pozostawionego mienia nieruchomego”.

Jak widać, przepis ten odróżniał osoby, które pozostawiły mienie na terenach Rzeczypospolitej Polskiej w jej granicach przedwojennych, które to tereny nie weszły w skład obecnego obszaru państwa, od osób, które na mocy umów międzynarodowych zawartych przez Państwo Polskie mają otrzymać ekwiwalent za mienie pozostawione za jakąkolwiek granicą, a nie tylko wschodnią. Na odróżnienie to wskazują wyraźnie słowa „jak również osobom”.

Jeszcze bardziej wyraziście wykazał to rozróżnienie osób dekret z 10 XII 1952 r. o odstępowaniu przez państwo nieruchomości mienia nierolniczego na cele mieszkalne oraz na cele budownictwa indywidualnych domów jednorodzinnych (Dz.U. nr 49 poz. 36) uchylający w/w dekret z 6 XII 1946 r.

Ustęp 1 art. 14 stwierdzał, że:

„Na pokrycie ceny nabycia lub czynszu za państwowe mienie nierolnicze przydzielone na podstawie dotychczasowych przepisów albo odstąpione w trybie niniejszego dekretu osobom, które w związku z wojną rozpoczętą w 1939 r. pozostawiły majątek nieruchomy na terenach Rzeczypospolitej Polskiej w jej granicach przedwojennych nie wchodzących w skład obecnego obszaru Państwa, jeżeli osoby te zamieszkiwały na tych terenach przed dniem 1 IX 1939 r., zalicza się wartość pozostawionego za granicą mienia nieruchomości”.

Ustęp 2 art. 14 dotyczył sposobu obliczania wartości pozostawionego mienia. Ustęp 3 tego artykułu stanowił zaś, że:

„Przepisy ustępu 1 i 2 stosuje się również do osób, które na mocy umów międzynarodowych zawartych przez Państwo Polskie mają otrzymać ekwiwalent za mienie pozostawione za granicą”.

Z powyższych tekstów wynika ewidentnie, że osoby, które pozostawiły mienie na terenach należących obecnie do ZSRR, miały prawo tylko do zarachowania wartości mienia pozostawionego na poczet ceny kupna nieruchomości, a nie do ekwiwalentu. Do tego ostatniego powinny mieć uprawnienia tylko osoby, odnośnie których zawarto odpowiednio umowy międzynarodowe bez względu na kraj, z którego przybyły.

Tymczasem treść art. 88 ust. 1 obowiązującej obecnie ustawy nie zawiera już rozróżnienia osób uprawnionych do odmiennych świadczeń. Z dwóch odmiennych stanów faktycznych, które przedstawiały art. 9 ust. 1 dekretu z 1946 r. i art. 14 dekretu z 1952 r. uczyniono, wskutek poprzekręcania tekstów, bezsensowną zbitkę słów. Dokonali tego „legislatorzy” jeszcze w latach pięćdziesiątych, albowiem art. 88 ust. 1 jest w zasadzie powieleniem zapisów wcześniejszych, poczynając od ustawy z 8 V 1957 r. o sprzedaży przez państwo domów mieszkalnych i działek budowlanych (Dz.U. nr 31 poz. 13).

Trudno dziś dociec przyczyn takiego stanu rzeczy, szczególnie czy kompilacja tekstu była działaniem zamierzonym, np. w wyniku zawarcia międzynarodowych umów w kwestii odszkodowań, czy też skutkiem legislacyjnego niechlujstwa? Jak dotąd nie jest nam wiadome, aby w sprawie ekspatriantów z kresów wschodnich zawarto z ZSRR w połowie lat pięćdziesiątych specjalne umowy zobowiązujące Państwo Polskie do wydawania ekwiwalentów. Okoliczności wskazują, że umowy takie nie zostały zawarte, skoro ekspatriantom i ich spadkobiercom nie wydaje się nieruchomości jako obowiązującego ekwiwalentu,

lecz co najwyżej sprzedaje z zarachowaniem wartości mienia pozostawionego. Różnica jest istotna, albowiem przyznanie ekwiwalentu powinno być obligatoryjne, dokonywane z urzędu, a kupno—sprzedaż są na ogół czynnościami fakultatywnymi dokonywanymi w miarę wzrostu podaży lub popytu.

I tu dotykamy sedna rzeczy, co wyraziła bez ogródek rzeczniczka praw obywatelskich prof. Ewa Łętowska w artykule *Co jest porażką*, zamieszczonym w „Rzeczypospolitej” z 3—4 III br., pisząc: „W tej chwili cały kłopot z szukaniem po Polsce, gdzie można kupić (w ramach ekwiwalentu) mieszkanie czy działkę, spada na uprawnionych (a zgłoszenie i rejestracja zgłoszeń to wcale niemały koszt dla zainteresowanych)”.

Z powyższej notatki wynika dobitnie, że w całej sprawie chodzi tylko o umowy kupna—sprzedaży nieruchomości z zarachowaniem, a nie o odszkodowanie. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji administracja państwowa woli sprzedawać działki na przetargu wśród zasobniejszej części społeczeństwa niż oddawać za darmo „ludziom zza Bugu”.

Niebagatelna sprawą jest też sama procedura i związane z nią koszty. Do 1987 r. wskutek trudności dokumentacyjnych tylko niewielki procent zainteresowanych mógł występować z roszczeniami. Praktycznie, administracja respektowała urzędowy opis pozostawionego mienia, potwierdzony przez władze radzieckie lub zaświadczenie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Obecnie osoby mające trudności dokumentacyjne mogą przedstawiać orzeczenia sądowe o pozostawieniu mienia uzyskane na drodze powództwa przeciwko skarbowi państwa o ustalenie faktu pozostawienia mienia na terenach nie wchodzących w skład obecnego obszaru państwa. Nie mówi się tylko jednego, a mianowicie, ile takie ustalenie kosztuje. A kosztuje dużo, bo 8% wartości mienia. Jeżeli dla przykładu ktoś zostawił skromne mieszkanie o wartości bieżącej kilkudziesięciu milionów złotych, to musi uiścić opłatę sądową wysokości 8% tej sumy, czyli kilka milionów złotych, bez względu na wynik postępowania. Można też pisać — jak sugerują niektórzy żurnaliści — prośby do władz radzieckich o nadesłanie odpowiednich dokumentów z tamtejszych archiwów, tylko konia z rzędem temu, komu władze te na korespondencję odpowiedziały, nie mówiąc o nadesłaniu czegokolwiek.

Tak wygląda problem na dzień dzisiejszy, a więc na kilka miesięcy przed upływem terminu dla dochodzenia powyższych roszczeń. Toteż nie bez racji pisze prof. Łętowska w cytowanym artykule z „Rzeczypospolitej”, że:

„ta uporczywość [w utrudnianiu sprawy — J.Z.] ma za sobą chytreńką myśl: w końcu 1990 r. mija termin zgłaszania owych uprawnień. Po tej dacie więcej zgłoszeń się nie przyjmuje; oczywiście będzie się realizowało już zgłoszone. Skoro tak, to przeczekajmy cichutko, czas problem rozwiąże, bez kłopotu. Pewno, ale ani to rzetelne, ani uczciwe.”

Należy więc dołożyć starań, aby problem w ten sposób się nie rozwiązał i aby sprawy nie zależały od chęci lub niechęci urzędników, ale od prawa. Przedtem trzeba sobie uświadomić, że cytowany art. 88 ust. 1 ustawy z dnia 29 IV 1985 r. i jego wcześniejsze odpowiedniki są konsekwencją układów z września 1944 r. między c.d. na s. 31

Problematyka lwowska i kresów południowo-wschodnich w prasie polskiej

Styczeń 1990 roku przyniósł lawinę informacji, wspomnień i artykułów poświęconych byłej Małopolsce Wschodniej i jej stolicy Lwowowi. Przyczyniła się do tego sytuacja polityczna (ruchy religijno-narodowe na Ukrainie) oraz wzrastający ruch turystyczny. Poniżej przedstawiamy wybór tych wiadomości.

Stosunki Polacy — Ukraińcy

Nowości. Dziennik Toruński (8 I 1990) zamieścił wywiad z Iwanem Donczikiem, członkiem Rady Kolegium Ukraińskiego Ruchu na Rzecz Przebudowy. Polacy wobec tego ruchu zachowują dystans. Ruch nie ma żadnych oficjalnych stosunków z Towarzystwem Polskim w Kijowie, mimo to miał miejsce jeden akt pojednania — nad grobami strzelców siczowych poległych w walkach polsko-ukraińskich w 1918 roku. Donczik zapewnił, że ruch nie przejawia żadnych tendencji antypolskich. Hasła antypolskie i kolportaż map ukraińskich z Chełmem i Przemyślem to akcje prowokacyjne; nie dotyczą one społeczeństwa ukraińskiego jako całości. Istnieje natomiast obustronne przeczucie i nadwrażliwość. Na Ukrainie budzi niechęć działalność Towarzystwa Miłośników Lwowa. Niektórzy uważają, że jest to pierwszy krok na drodze do prób przywrócenia Lwowa Polsce. Na Ukrainie nikt nie chce zmiany granic — stwierdził na zakończenie Donczik.

Ekspres Wieczorny (22 I 1990) podał wiadomość o kilkudziesięciotysięcznym łańcuchu rąk ludzkich, który połączył Lwów z Kijowem. Akcję zorganizował Ukraiński Ruch na Rzecz Przebudowy z racji obchodów rocznicy proklamowania w dniu 22 I 1919 r. niepodległości Ukrainy. Cała trasa była przyozdobiona błękitno-żółtymi flagami z tryzubem. Nota podaje, że Lwów jest od wielu lat centrum nacjonalizmu ukraińskiego, stąd też niektóre lwowskie organizacje niezależne postulują oderwanie od historycznej Rusi Kijowskiej i utworzenie państwa „Hałaczyna” ze stolicą we Lwowie. Wysuwane są też roszczenia terytorialne dotyczące m.in. Zamościa i Przemyśla.

Gazeta Krakowska (16 I 1990) wydrukowała list mieszkańca Lwowa Stefana Hucuła, Ukraińca, deklarującego się jako „patriota polski”. Interesuje się i zna polską literaturę, kulturę i historię. Pan Hucuł pisze, że zbiory ossolińskie są w porządku, udostępnia się je naukowcom, ale nie prostym ludziom. Świątynie lwowskie zostały zniszczone podczas wojny, w ocalałych odprawia się nabożeństwa, a inne służą jako magazyny. Wyraża pogląd, że Polacy w latach 1939—45 wysługiwali się „enkawudystom” i gorliwie pomagali wspólnie niszczyć Ukraińców. Na koniec dodaje, że Ukraińcy nie są bez winy, ale „wart Pac pałaca i pałac Paca”.

Ład (14 I 1990) przytoczył redakcyjną dyskusję na temat „Europa w rozsypce”. Jeden z rozmówców (Grzegorz Lasota, redaktor naczelny kwartalnika „Nowa Koalicja”) wyraził pogląd, że po raz pierwszy w dziejach nie ma żadnego konfliktu polsko-ukraińskiego poza nie znaczącymi wyrykami. Ten konflikt miałby miejsce, gdyby na Ukrainie żyli Polacy w takiej liczbie, jak przed

wojną. Ale Polaków wywieziono, wymordowano, wygnano i dziś ich liczba nie stanowi żadnego zagrożenia. Natomiast „kocioł jest podgrzewany w Wilnie”. Wydaje się jednak, że małe kociołki nagrzewają się również i na wschód od Przemyśla.

Wokół odzyskania zbiorów ossolińskich ze Lwowa

Ład (7 I 1990) wydrukował artykuł Jerzego Narbutta *Ukraińskie duby smalone*, dotyczący bezprawnego zatrzymania przez władze ukraińskiej SRR części zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. To, co otrzymaliśmy po wielomiesięcznych staraniach w 1946 roku, przekazane zostało jako „dar” w celu powetowania strat kultury polskiej w czasie wojny. Autor pisze, opierając się na wypowiedzi doc. dra Janusza Albina, dyrektora wrocławskiego Ossolineum, że zatrzymanie tych zbiorów jest uzurpacją w świetle prawa międzynarodowego, a już żadną miarą zbiory te nie powstały z „potu i krwi ukraińskiego ludu”. Autor kończy oświadczeniem, że wszelkie pojednanie możliwe jest tylko w prawdzie; zgodnie z tym założeniem trzeba najpierw stronie ukraińskiej powiedzieć twardo — oddać coś winien, a potem pogadamy o kochaniu.

Słowo Polskie (21 I 1990) podało przebieg interesującej rozmowy z dyrektorem wrocławskiego Ossolineum doc. drem Januszem Albinem na temat beznadziejnych dotąd starań o odzyskanie zbiorów ossolińskich ze Lwowa, w tym m.in. unikatowego zbioru przedwojennej prasy polskiej. Sprawa ta od 40 lat pozostaje nie załatwiona. Na ten temat pisały również inne gazety, jak np. Sztandar Ludu z 17 I 1990 r.

Gazeta Robotnicza (23 I 1990) zamieściła artykuł Leny Kaletowej pt. *Nareszcie jasne stanowisko rządu wobec Ossolineum*. Po pokrętnych i mijających się z prawdą oświadczeniach b. ministra Aleksandra Krawczuka i niezbyt sprecyzowanych wypowiedziach ministra Izabeli Cypińskiej minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski na sesji sejmowej postawił jasno sprawę zwrotu dóbr kultury i pamiątek polskiego dziedzictwa narodowego, w tym zbiorów Ossolineum, które pozostały w ZSRR. Rozmowy z Ukraińcami na temat Ossolineum należy rozpocząć od jasnego sformułowania naszych intencji, a sprawa odzyskania zbiorów powinna być potraktowana odrębnie i pierwszoplanowo.

Niepokoje religijno-narodowe we Lwowie

Odgłosy (21 I 1990). Niespokojną lwowską jesień 1989 roku opisała Monika Matuszak, m.in. wielki wiec przed gmachem Uniwersytetu Lwowskiego. Zwolennicy legalizacji Cerkwi grecko-katolickiej trzymali nie tylko niebiesko-żółte flagi ukraińskie, ale również czerwono-czarny proporzec — symbol UPA. Ks. Stanisław Draguła.

Dziennik Wieczorny (12—14 I 1990). Kontrowersje między unitami a prawosławnymi we Lwowie wynikły z okazji zajęcia przez unitów cerkwi Przemienienia Pańskiego. Arcybiskup prawosławny Lwowa Irinej zwrócił się listownie do papieża Jana Pawła II o „podjęcie kroków, aby katolicy obrządku wschodniego zwrócili prawosławnym podstępnie zagarniętą świątynię Przemienienia”. Przedruk tego artykułu znajduje się też w Forum (21 I 1990).

Kultura i sztuka Lwowa

Trybuna Opolska (13—14 I 1990). Sławomir Nicieja przedstawił sylwetkę zapomnianego dziś, niestety, wybitnego rzeźbiarza lwowskiego Piotra Wójtowicza. Jest on twórcą wielu monumentalnych rzeźb klasycystycznych, m.in. na frontonie i w foyer Teatru Wielkiego,

figur i ołtarza Św. Józefa w kościele Św. Elżbiety. Autor ubolewa, że Wójtowicz nie doczekał się jeszcze porządnej monografii, tym bardziej że wśród badaczy ukraińskich pojawiają się głosy o jego ukraińskiej narodowości. Uczni ukraińscy nazywają go „Petro Wijtowycz”. Nam przy tej okazji przypomina się lituanizacja polskich nazwisk na Litwie.

Przyjaciółka (11 I 1990) podała interesującą rozmowę z historykiem sztuki panią Zofią Malec, kustoszem Galerii Lwowskiej. Oto fragment jej wypowiedzi: „Lwów leżał zawsze na pograniczu, na styku kultur, tradycji, narodowości, religii. Kiedy zajmuję się badaniem zabytków Lwowa i sięgam do ich genezy, to jak na dłoni widać wpływy polskie, ukraińskie, austriackie, żydowskie, niemieckie, francuskie, ormiańskie... Być może z tego przemieszania tradycji, kultur, stylów zrodził się pewien magnetyzm tego miejsca, któremu na imię Lwów”.

Stanisławów. O gehennie polskich więźniów politycznych

Przekrój (7 I 1990) zamieścił drugą część relacji Jana Siemińskiego, który został poddany torturom w trakcie śledztwa prowadzonego przez NKWD w więzieniu stanisławowskim wiosną 1941 roku. W lipcu 1941 roku wymordowano w tym więzieniu około 4000 więźniów, w tym również Ukraińców z OUN. Znalaziono ogromny zbiorowy grób w Pasiecznej koło Stanisławowa. Ze względów sanitarnych władze niemiecko-węgierskie nie zezwoliły na odkopywanie zwłok. Polscy kolejarze podali wówczas wiadomość, że w Brygidkach we Lwowie oprawcy NKWD wymordowali tysiące więźniów. Jan Siemiński podkreśla, że Węgrzy, okupując Stanisławów, odnosili się bardzo przyjaźnie do Polaków.

Odzyskiwanie kościołów rzymsko-katolickich na Ukrainie

Ład (14 I 1990). Adam Chlebowicz wymienia zwrócone wiernym obrządku rzymsko-katolickiego kościoły w USRR — w obwodzie czerkaskim, płoskirowskim, kijowskim, czerńowieckim, winnickim, żytomierskim, odesskim oraz tarnopolskim, równeńskim, stanisławowskim i lwowskim. Zwłaszcza duża jest aktywność katolików na obszarze przygranicznym z Polską, np. w dekanacie mościckim na 12 przedwojennych parafii czynnych jest dzisiaj już 11.

Od redakcji: Otrzymaaliśmy wiadomość o poświęceniu w dniu 18 XI 1989 r. kościoła parafialnego w Kamionce Strumiłowej, obecnie Kamionce Buskiej. Na zdjęciu nowo pozyskany kościół (fot. Stanisław Laba).

Opisy podróży po dawnych ziemiach Rzeczypospolitej

W ukazującej się z dużym opóźnieniem Res Publice (nr 6 z czerwca 1989 r.) w dziale „Korespondencje” ukazała się obszerna relacja z trasy od Lwowa do Kaniowa, autorstwa Tadeusza A. Olszańskiego. Stosunkowo młody wiek autora (rocznik 1950) nasuwa refleksję, że nie zna — choćby z literatury — statusu i charakteru przedwojennego Lwowa. „To, co uderza we Lwowie najbardziej — pisze autor — to stołeczność tego miasta”. Nas, tam urodzonych i wychowanych, uderza przede wszystkim prowincjonalność Lwowa mimo przewalających się tłumów po Wałach Hetmańskich. Autor pisze dalej, że wszędzie w mieście widoczna jest wielka troska o zabytki. Pytamy, gdzie? Czy pan Olszański obejrzał sobie dokładnie choćby kościół Jezuitów z niszczącymi zbiorami ossolińskimi? A już zupełnie wydumane są takie uwagi, że „nawet cesarsko-królewskie bruki są starannie konserwowane”. Lwów ma — powszechnie to wiadomo — katastrofalny stan nawierzchni ulic. Stwierdzenie „To



nadal to samo miasto, niegdyś najbardziej polskie z polskich, dziś — najbardziej ukraińskie z ukraińskich” zawiera w sobie jakąś logiczną sprzeczność.

Następnie autor opisuje zupełnie wiarygodnie biedne, zaniedbane Równe, gdzie w przedwojennej willi urządzone Muzeum Chwały Komsomolskiej. Jest Żytomierz i Żytomierszczyzna, główne wymierające skupisko Polaków na Ukrainie, potem Kijów. Tutaj autor przy opisie Kreszczatki robi uwagę, że jest czysto, ale może nie tak, jak we Lwowie. I znów ogarnia nas zdumienie — Lwów czysty? Przy braku wody w mieście, z brudnymi wnętrzami zabytkowych kamienic Rynku i tysiącem karakonów w hotelach? Autor dobija w końcu do Perejesławia i Kaniowa. Po opisanym przez Goszczyńskiego zamku kaniowskim — jednej z wielkich twierdz dawnej Rzeczypospolitej — nie pozostał nawet ślad. Na Tarasowej Górze w Kaniowie znajduje się grób Tarasa Szewczenki. Przy nim spotkał autor kobzarza bandurystę w czerkaskim stroju ludowym. Tu bije serce Ukrainy, i tu można zrozumieć ten kraj i ten naród — kończy tę relację Olszański. Z tym twierdzeniem autora zgadzamy się w zupełności.

Oprac.: Danuta Nespiak i Zdzisław Ojrzyński



Z życia oddziałów i klubów TML

Rok działalności Oddziału TML w Bytomiu

Po Wrocławiu i Świdnicy jako trzeci w kraju i pierwszy na Górnym Śląsku powstał oddział TML w Bytomiu. Na wiadomość o zarejestrowaniu Towarzystwa Miłośników Lwowa grupa inicjatywna w składzie: Anna Bielecka, Bogdan Kasprowicz, Adam Kostek, Julian Kowaliński, Janusz Owen i Wacław Tomaszewski, 4 listopada 1988 r. powołała 22-osobową tzw. grupę założycielską. 23 listopada zostało zwołane zebranie założycielskie, na którym wybrano władze Oddziału. Przewodniczącym został mgr Adam Kostek, sekretarzem — mgr Bogdan Kasprowicz.

28 listopada delegacja Oddziału wraz z przedstawicielami Zarządu Głównego złożyła wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Prężna działalność młodego zarządu oprócz prac statutowych od początku owocowała szeregiem inicjatyw i dokonań. W stosownym czasie Oddział włączył się do akcji pomocy dla Armenii.

W styczniu 1989 roku zarząd został „przygarnięty” przez klub „Pyrlik”, ale niezwłocznie rozpoczął starania o własny lokal. W styczniu zorganizowane zostały dwie wystawy tematyczne, a także pierwsza wycieczka do Lwowa. Oddział nawiązał kontakt z Towarzystwem Kultury Polskiej we Lwowie, a w marcu przedstawiciel Oddziału wziął udział w spotkaniu z delegacją tego Towarzystwa, które odbyło się w Krakowie.

21 marca zapadła decyzja o przyznaniu Oddziałowi stałej siedziby, i od tej pory trwa wyteżona praca.

W okresie kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu Oddział popierał program Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Na swoim terenie był organizatorem uroczystych nabożeństw w kościele Św. Wojciecha w kwietniowe i majowe rocznice narodowe.

20 czerwca po raz pierwszy dla bytomskich kresowian wystąpił powstały przy Oddziale zespół kabaretowy „Pacatycha” z programem „Ni ma jak Lwów”. Zespół prowadzi p. Danuta Skalska.

Na wniosek Oddziału TML Miejska Rada Narodowa Bytomia zmieniła nazwy ulic: z Bieruta na Wrocławską, Oswobodzenia na Lwowskich Dzieci, plac Thaelmanna na plac Jana III Sobieskiego.

4 lipca delegacja Oddziału złożyła wieniec pod pomnikiem pomordowanych profesorów lwowskich, który znajduje się we Wrocławiu, a 17 września w uroczystej Mszy Św., celebrowanej w rocznicę najazdu sowieckiego, uczestniczyła liczna grupa członków Oddziału.

W lipcu Oddział gościł 45 dzieci z Winnicy na obozie harcerskim w Kokotku. Znaczną część środków na pokrycie kosztów pobytu zorganizował we własnym zakresie, resztę pokryły inne oddziały Towarzystwa.

22 września 1989 r. Oddział otworzył w swojej siedzibie Izbę Tradycji, a dzień później, po poświęceniu odrestaurowanej siedziby, gościł przewodniczących wszystkich oddziałów i klubów TML na IV spotkaniu delegatów, którzy nie szczędzili pochwał za dotychczasową działalność i za organizację spotkania.

W październiku w ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej został zorganizowany Dzień Lwowski, a w dniach 6—12 listopada — Tydzień Lwowski w siedzibie klubu MPiK.

22 listopada odbyło się spotkanie z żyjącymi w Bytomiu Obrońcami Lwowa z 1918 roku.

7 grudnia ukazał się pierwszy numer „Biuletynu Informacyjnego”, a dzień później odbyło się walne zebranie członków Oddziału, na którym wybrany został nowy zarząd.

W omawianym okresie działalności Oddział Bytomski utrzymywał stały kontakt z prasą, radiem i telewizją, dzięki czemu społeczeństwo regionu informowane jest na bieżąco o życiu i działalności Oddziału.

Dzięki inicjatywie zarządu i zaangażowaniu wielu członków Oddział ma obszerną własną siedzibę, jedną z najładniejszych w kraju.

Z licznych działających komisji najaktywniejsze były: Komisja Historyczna i Komisja Kulturalna.

Efektywna działalność zarządu i komisji w ożywianiu środowiska kresowego, współpraca z Zarządem Głównym, kontakty ze środowiskami polskimi we Lwowie i na Ukrainie stawiają Oddział Bytomski w ścisłej czołówce wyróżniających się w pracy oddziałów i klubów TML. Z grona najaktywniejszych nie sposób nie wyróżnić prezesa zarządu p. Adama Kostka i sekretarza p. Bogdana Kasprowicza, którzy byli motorem działania Oddziału.

Aktualnie przewodniczącym zarządu Oddziału jest mgr inż. Lesław Józków. Siedziba Oddziału mieści się w Bytomiu przy ul. Wrocławskiej 5.

Oddział TML Kraków — dla Lwowa

Oddział Krakowski TML odpowiedział czynem na apel dyrektora oddziału „Energopolu” we Lwowie, p. Józefa Bobrowskiego, o przygotowanie podarków dla dzieci polskich ze Lwowa i okolic w dniu św. Mikołaja.

Oddział wystąpił z apelem o wsparcie finansowe i dary w naturze. Zebrał 728 tys. zł oraz dary wartości około 400 tys. zł. Najbardziej ofiarne były organizacje NSZZ „Solidarność” Regionu Małopolska, Akademii Sztuk Pięknych i Kombinatoru Metalurgicznego „Nowa Huta”. Znaczną kwotę przekazał też Oddział TML w Bytomiu. Firma „Fructoma” ofiarowała 65 paczek słodczy. Wręczenie paczek dzieciom polskim ze Lwowa, Stryja, Drohobycza i Mościsk miało miejsce na imprezie mikołajowej w dniu 6 grudnia w sali im. Gagarina we Lwowie. Paczki wręczali przedstawiciele „Energopolu” i Oddziału Stołecznego TML Warszawa.

Dla 40 dzieci uczestniczących w tej imprezie zabrakło paczek. Oddział Krakowski TML zorganizował dodatkową zbiórkę, przygotował paczki i przesłał je w styczniu do Lwowa.

Impreza mikołajowa we Lwowie była pierwszą od 50 lat.

Oddział Krakowski TML przesłał do Katedry Lwowskiej szopkę betlejemską ufundowaną przez PAX. Pozostaje też w ścisłym kontakcie z kościołami w Żółkwi i Stanisławowie, pomaga w ich wyposażaniu.

Kino „Lwów” we Wrocławiu

Z inicjatywy Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa, przy życzliwym poparciu Dyrekcji Okręgowej Instytucji Rozpoznawania Filmów we Wrocławiu, dokonana została zmiana nazwy kina „Przodownik” na „Lwów”.

W okresie przygotowań wyróżnili się: kierownictwo i załoga kina, pracownia plastyczna OIRF, Zakład Energetyczny i koordynator działań ze strony ZG TML, p. Zbigniew Urycz.

Uroczystość nadania nowej nazwy odbyła się 16 grudnia 1989 r., a uświetniły ją występy chóru TML „Echo” i zespołu Domu Pracowników Służby Zdrowia, który przygotował program „Ta joj, ta Lwów, kochany Lwów”. Uroczystości przewodził p. Wojciech Dzieduszycki.

Od 16 grudnia ubiegłego roku wrocławianie codziennie bywają we „Lwowie”.

Dzieci ze Lwowa w Gliwicach

Komisja łączności z Polakami mieszkającymi za granicą przy Oddziale TML Gliwice zaprosiła na ferie zimowe dzieci ze szkół polskich we Lwowie. 20 dzieci i dwoje opiekunów przebywało w dniach 2—12 stycznia 1990 roku na Śląsku. Goście pozostawali na utrzymaniu gliwickich lwowian. Dzieci uczęszczały na lekcje, oswajały się z atmosferą polskiej szkoły, brały udział w imprezach i spotkaniach z dziećmi polskimi. Oddział TML zorganizował też wyjazdy krajoznawcze do Krakowa i Częstochowy.

Oprac. Lesław Flis

c.d. ze s. 27

PKWN a rządami Ukraińskiej SRR i Litewskiej SRR, wedle których majątek nieruchomy obywateli polskich ewakuowanych z terenów przyłączonych do ZSRR przeszedł na własność ZSRR. Należy zapytać, jaki tytuł prawny — poza rozkazami Stalina — miał tenże PKWN, a ściślej garstka moskiewskich komunistów, do pozbawienia obywateli polskich prawa własności majątku, wypracowywanego niejednokrotnie przez całe pokolenia w ciągu dziesiątek, a nawet setek lat. Oczywiście nie mieli żadnego. W tej sytuacji utrzymywanie w r. 1990 rozkazu Stalina jako źródła prawa własności jest żartem z praworządności i sprawiedliwości. W całym cywilizowanym świecie korekty granic bądź zmiany państwowej zwierzchności nie pozbawiały automatycznie obywateli własności posiadanego mienia. Nie czynili tego ani carscy i pruscy zaborcy, ani inne europejskie państwa. Polacy do dziś posiadają — mimo zmiany granicy — nieruchomości w Czechosłowacji, a obywatele państw obcych nieruchomości w Polsce, między innymi we Wrocławiu (pomijamy tu problem b. własności niemieckiej na Ziemiach Zachodnich i Północnych jako odrębne zagadnienie związane z konsekwencjami rozpadu II wojny światowej). Obywatele polscy ze wschodnich terenów II Rzeczypospolitej nie byli tam ani najeźdźcami, ani potomkami najeźdźców. Byli u siebie, stając się tragicznymi ofiarami zbrodniczych układów dwóch nieludzkich potęg. Nie było na tych ziemiach domu, z którego nie wyciągnięto by kogoś siłą, więziono, wygnano. Teraz od ludzi przepędzonych przez obozy nieludzkiej pracy, Syberię i Kazachstan oraz od ich ocalałych potomków żąda się urzędowych opisów mienia i płacenia olbrzymich sum za to, że ośmielili się upomnieć o swoje. Niedługo może dojść do tego, że Polaków, posiadających kiedyś majątkowy dorobek, podzieli się na dwie grupy. Tych, którym przywróci się niebawem odebrane po wojnie prawo własności do nieruchomości położonych na terenie Polski Centralnej, oraz tych, którzy prawo to utracą, bo mieli nieść mieszkać na Wschodzie. Tak się stać nie może.

Najwyższy czas, aby obecny rząd uchylił termin 31 XII 1990 r. — ustalony przez poprzednich władców w celu ostatecznego wyciszenia sprawy.

Dzieci ze Lwowa uczestniczyły w jasełkach, były na koncercie ze świecami w Szkole Muzycznej w Gliwicach, a przed zakończeniem pobytu bawiły się wspólnie z polskimi koleżankami i kolegami na zabawie w Technikum Kolejowym w Gliwicach. „Duszami” całego przedsięwzięcia były panie: dr inż. Dagmara Tejszewska i dr Ludwika Gadomska.

O tym, że dzieci wyjeżdżały zadowolone, świadczyć może fakt zaginięcia przed wyjazdem jednego z chłopców. Po odnalezieniu go okazało się, że nie chciał wracać do Lwowa...

Aby uznać tę sprawę za otwartą i załatwić w sposób prawidłowy, według nowo opracowanych zasad. W tym celu należy:

— Uznać układy zawierane przez PKWN w 1944 r. z pominięciem legalnego rządu RP za nieważne od początku;

— Zażądać kategorycznie od władz ZSRR przywrócenia prawa własności dla obywateli polskich do nieruchomości, które stanowiły ich własność przed opuszczeniem ziem wschodnich. Sprawę tę należy włączyć do zgłoszonych już roszczeń odszkodowawczych za cierpienia fizyczne. Niech osoby zainteresowane same zadecydują, co z mieniem tym uczynić powinny;

— Pomóc wszystkim zainteresowanym w dostępie do danych ksiąg hipotecznych, spisów inwentarzowych i innych dokumentów, rozmieszczonych w różnorodnych archiwach, bez opłat sądowych i skarbowych;

— Zaoferować przejęcie konkretnych nieruchomości lub godziwego odszkodowania pieniężnego tym osobom, które zrezygnują z prawa własności pozostawionego mienia.

Koszty wszystkich powyższych czynności powinny obciążać finansowo ZSRR jako współsprawcę nieszczęść społeczeństwa polskiego i w kwestii tej nie może być żadnych ustępstw. Nie ma bowiem ani logicznych, ani prawnych podstaw do tego, aby skutki ludnościowych przemieszczeń i zaboru mienia obciążały naród polski.

Z żalem stwierdzamy, że jak dotąd rząd polski zajmuje w sprawie roszczeń do wschodniego sąsiada wyjątkowo niemrawo wyrażone stanowisko. Poruszona przez premiera w czasie jego wizyty w Moskwie sprawa odszkodowań za zbrodnie nigdy nie została społeczeństwu bliżej przedstawiona ani sprecyzowana. Może więc posłowie i senatorowie wyrażą większe zainteresowanie tymi problemami. Sądźmy, że czasy udawanej przyjaźni z ZSRR minęły i pora na sympatie prawdziwe. Przedtem należy jednak zrealizować hasło „najpierw prawda, potem przyjaźń”. Dotyczy to także grabieży majątku narodowego. Prawda ta jest okrutna i należy o niej mówić głośno oraz stanowczo. Tak głośno i stanowczo, jak ostatnio rozmawiano z rządem RFN. Nie ludźmy się, że rozmowy będą łatwe i przyjemne, lecz kiedyś zacząć je trzeba. Pora ku temu najwyższa.

● Przygotowuję monografię Romana Puchalskiego (1906—1941), brata Włodzimierza Puchalskiego. Był sportowcem — lekkoatletą, narciarzem (należał do Karpackiego Towarzystwa Narciarzy) oraz wybitnym artystą fotografikiem. Mieszkał we Lwowie. Wywieziony na Kołymę, zmarł w Magadan. Proszę wszystkie osoby, które знаły Romana Puchalskiego, o skontaktowanie się ze mną. Mój adres: Marta Gołąb, 31-139 Kraków, ul. Łobzowska 57/56.

● Towarzystwo Miłośników Lwowa, Oddział w Krakowie, prosi wszystkie osoby związane z nauką i nauczaniem w XI Gimnazjum im. Śniadeckich we Lwowie ul. (Szymonowiczów) o przesłanie informacji o sobie i latach spędzonych w tej szkole. Wszelkie wiadomości odnoszące się do nauczycieli, kolegów, ich losów, a także własnych przeżyć, które mogą posłużyć do opracowania Księgi Pamiątkowej Szkoły, proszę kierować pod adresem: prof. dr hab. inż. Jerzy Kowalczyk (TML — Kraków), 31-476 Kraków, ul. Lublańska 24 m 2.

Namysłów, dnia 16 kwietnia 1990 r.

Pan Bolesław Opalek

Wielce Szanowny Panie!

Kiedy natknąłem się w drugim numerze miesięcznika „Semper Fidelis” na Pańskie nazwisko jako autora szkicu o Zbierchowskim, odwołującego się do pamięci ojca — Mieczysława Opalka, odżyły wspomnienia. Jedne z najtrwalszych w moim życiu wspomnień związanych ze Lwowem i właśnie Pańskim Ojcem.

Był rok chyba 1941, a więc okupacja niemiecka. Miałem wówczas 10 lat. Mieszkaliśmy w suterenie przy ul. Św. Józefa pod 7. Ojciec (ochotnik Małopolskich Oddziałów Armii z 1920 r.) był palaczem w fabryce drożdży w Lesienicach pod Lwowem. Matka dorabiała na Krakidach sprzedawaniem drożdży wynoszonych przez ojca do lasu, po które często chodziłem sam (7 km). W torbie przenosiła również jakieś tajne pisma, pamiętam jak chowano je przede mną. Domyśliłem się później, że pochodziły z mieszkania przy ul. Kurkowej. Było to chyba ostatnie piętro kamienicy naprzeciw klasztoru Franciszkanek. Pewnego razu matka, która usilnie szukała dla mnie nauczyciela historii Polski, zaprowadziła mnie do tego mieszkania przed serdeczne oblicze starszego niskiego pana, który nazywał się Mieczysław Opalek. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, jak wybitna to postać i wielce dla Lwowa zasłużona. W mieszkaniu był jego syn, młody chłopiec — chyba właśnie Pan! Widocznie ojciec nie mógł mi tych lekcji udzielać, bo skończyło się na drugiej wizycie, a na lekcje zacząłem uczęszczać gdzie indziej. Na pożegnanie M. Opalek podarował mi szereg rzeczy należących chyba do Pana z tego mieszkania, które robiło wrażenie pośpiesznie likwidowanego. Były to: komplet roczników „Płomyczka” (ogromny stos do ostatniego numeru), książka Wyrobka pt. *Harcerz w polu*, krzyż harcerski, broszurka M. Opalka pt. *Bohater-ski Lwów* i kilka innych (bodaj gimnazjalne podręczniki historii i literatury). Wszystkie te rzeczy pieczołowicie przechowywałem i przywiozłem je w 1946 r. do Kluczborka. Oczywiście opuściłem je w spisie wywożonych książek, który należało przedłożyć w 3 egz. w sowieckiej komendanturze. Na książkach tych wychowałem się! „Płomyczek” i Wyrobek to była lektura całej mojej młodości wojennej i tuż powojennej, której to lektury wartości poznawcze, patriotyczne i moralne pozostały we mnie trwałe ślady. Niestety, na skutek przykrych perypetii nie mogłem ich przekazać swoim dzieciom. Pozostał po nich tylko ślad-pamiątka, wspomniany 30-stro-nicowy szkic z 1919 r. pt. *Bohaterski Lwów*.

Z wyrazami szacunku
Henryk Ostrowski
ul. Kościuszki 2a/1
46-100 Namysłów

Krynica 1990-04-07

mgr farm. Franciszek Kumor
ul. Piłsudskiego 27 m 7
33-380 Krynica

Redakcja
Miesięcznika TML „Semper Fidelis”

Z radością i wzruszeniem powitałem pierwszy egzemplarz pisma TML „Semper Fidelis”. Oczarowany chłonałem jego treść. Z tęsknotą w myślach przebiegałem po ulicach ukochanego Lwowa, od parku Stryjskiego i Panoramy Racławickiej po Pohulanę, Legionów i Akademicką, Kochanowskiego, gdzie mieszkalem, po sanktuarium Orłat Lwowskich i cmentarz Łyczakowski, gdzie spoczywają moi przodkowie, od Teatru Wielkiego do pomnika Mickiewicza... Dzięki Wam znowu odżyło to miasto pełne radości i uśmiechu, najpiękniejsze na świecie, promieniujące nauką i kulturą, szczerością uczuć i oddaniem Rzeczypospolitej, mądrością poczynań i wesołą piosenką beztroskich batiarów.

Tu się urodziłem w roczniku Kolumbów, dzieciństwo i młodość, Jego obrona w 1939 roku, tragedia kapitulacji — żołnierze ze łzami rozpaczliwie łamiący karabiny, że nie dano im dalej walczyć... W październiku 1939 musiałem opuścić Gród Lwa, przez „zieloną granicę” ku Warszawie, aby tu w 1944 roku mieć szczęście walczyć za ojczyznę w Powstaniu Warszawskim, jak te Orłaty Lwowskie i ujrzeć znowu po latach okupacji biało-czerwoną, przeżyć chwile wolności i poświęcenia, lecz znowu kapitulacja z jakże podobnych przyczyn... Jeniec

wojenny, zakończenie wojny, dokąd wracać? — Lwów poza granicami, Warszawa spalona. Odnalazłem resztki rodziny w Krakowie i Wrocławiu. Takie są drogi Polaków.

Dziękuję Inicjatorom tych poczynań i Tobie Redakcjo za to pismo, które wlewa w nasze lwowskie serca — wiekiem już stare, lecz na słowo Ojczyzna młodzieńczo bijące — nektar przeżyć, wspomnień, nadziei oraz wyzwała śpiew tęsknoty: „bo choćbym się jeszcze urodzić raz miał, to tylko we Lwowie”. [...]

OD REDAKCJI:

Dziękujemy autorowi listu za piękny wiersz dedykowany zespołowi redakcyjnemu. Czasem ogarniają nas wątpliwości, czy zasłużyliśmy na takie słowa uznania?

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy

Zgodnie z sugestiami kierowanymi do naszej redakcji postanowiliśmy zamieszczać nekrologi i wspomnienia pośmiertne o osobach, które urodziły się lub mieszkały na kresach wschodnich.

Wyrażamy również gotowość drukowania tekstów reklamowych firm zagranicznych i krajowych, promujących działalność gospodarczo-handlową.

Ceny za ogłoszenia w ramach są następujące: cała strona 3 000 000 zł, 1/2 — 1 750 000 zł, 1/4 — 900 000 zł, 1/8 — 650 000 zł.

Za ogłoszenia, które nie będą umieszczone w ramach, pobieramy 20 000 zł za jedno słowo.

Druk zamówionego tekstu nastąpi w najbliższym terminie po dokonaniu przez klienta przelewu na konto: WBK IV O/Wrocław 359209-5164.

BULLETIN FOR
BUSINESSMEN

To pismo wydawane pod patronatem Ministerstwa Współpracy Gospodarczej z Zagranicą przy współpracy z:

- Organizacją Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju Przemysłu UNIDO,
- Agencją ds. Inwestycji Zagranicznych,
- Izbą Inwestorów Zagranicznych.

ANONS — BIULETYN BIZNESMENA będzie kolportowany przez:

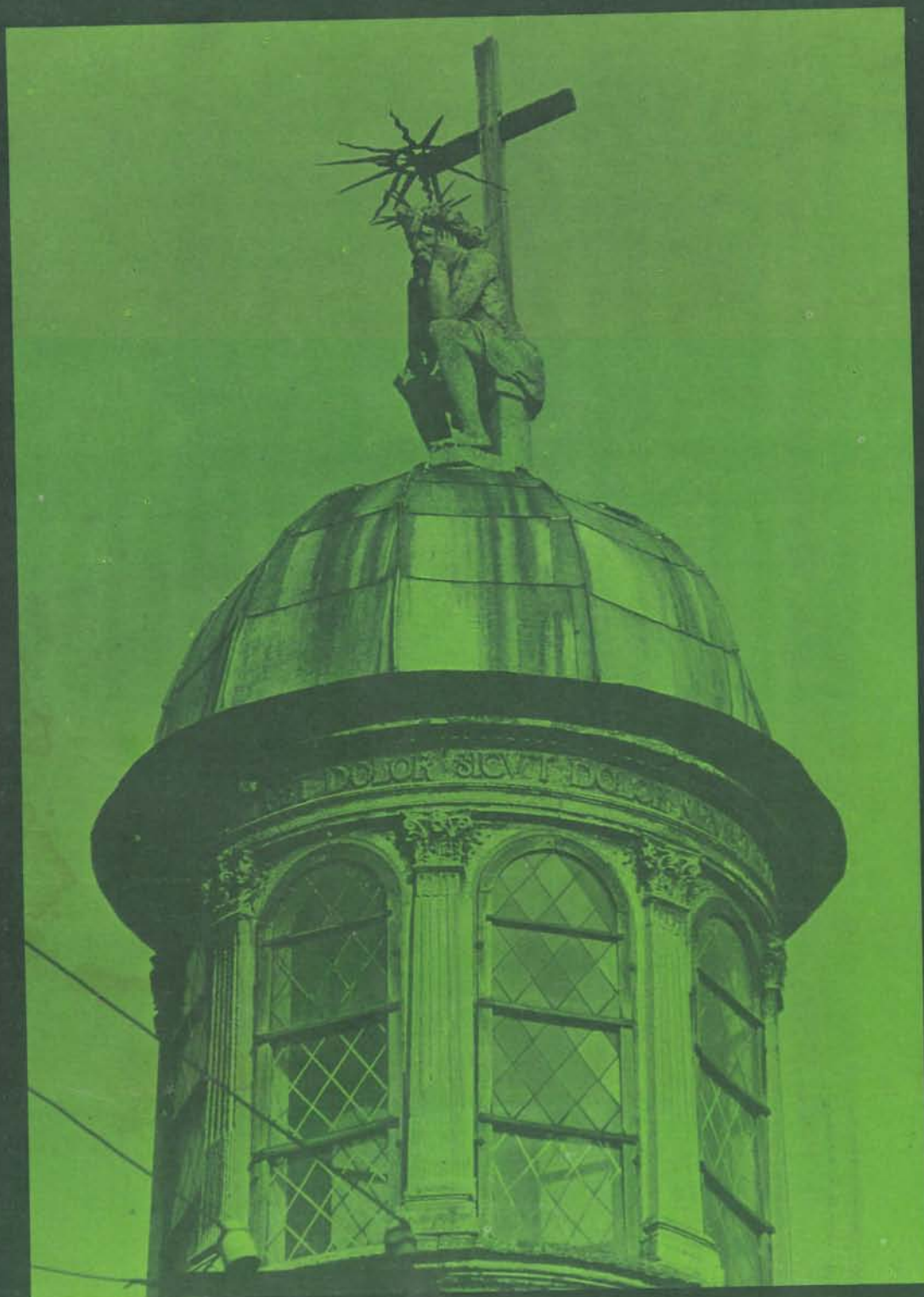
- placówki UNIDO na całym świecie,
- biura radców handlowych ambasad Rzeczypospolitej Polskiej,
- izby handlowo-przemysłowe,
- banki,
- agencje turystyczne,
- biura prasowe targów.

Wszelkich informacji udziela redakcja tygodnika publicystyczno-reklamowego ANONS, 50-010 Wrocław, ul. Podwałe 64, pok. 36, tel. 340-31, w. 159, telex 0712399.



Kościół Katedralny Wniebowzięcia NP Marii

Grafika Piotra Pabisiaka, praca studenta Koła Rysunkowego Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej wykonana pod kierunkiem Ryszarda Natusiewicza



W NUMERZE!

Adam Wierciński, Renesans lwowski

Mieczysław Ryszard Filipczak, Odznaki Obrońców Lwowa
1-22 XI 1918 r. (c.d.)

Stanisław Sławomir Nicieja, Archiwum Łyczakowskie

Władysław Żołnowski, Ogniem i karabinem

Jan Ziembicki, Stanowisko w sprawie odszkodowań

Jerzy Janicki, Listy do Lwowa

Stanowisko w sprawie odszkodowań

W ostatnich miesiącach redakcje prasy, radia i telewizji otrzymują od expatriantów z Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej wiele listów w sprawie odszkodowań za pozostawione tam mienie. Wynika to z faktu, że 31 XII 1990 r. mija ostateczny termin składania wniosków o stosowne rekompensaty. Odpowiedzi na listy bywają w miarę jednakowe. Ograniczają się do wskazania obowiązujących regulacji prawnych, niekiedy z zacytowaniem przepisów, a także do pouczania, jakie urzędy administracji państwowej są rzeczowo właściwe do załatwiania tych spraw oraz jak należy roszczenia dokumentować. Nasyceni takimi informacjami zainteresowani udają się do urzędów, po odwiedzeniu których wpadają we wściekłość, piszą kolejne listy, jak ten opublikowany w dzienniku „Rzeczpospolita” z dnia 20 II b.r. W celu ilustracji zjawiska list ten przytaczamy w całości. Czytelniczka pisze:

„Nawiązując do artykułu z dnia 6 II 1990 r. *Bezprawne praktyki* jako jedna z grupy repatriantów uprzejmie się pytam: Kto i kiedy zajmie się wreszcie na serio i ostatecznie roszczeniami repatriacyjnymi? Dlaczego jesteśmy traktowani jak ludzie, którzy dopominają się o coś, co im się nie należy? Niektóre wydziały geodezji nie odpowiadają na nasze podania dotyczące przydziału działek budowlanych za mienie pozostawione na wschodzie. Przedłużenie tylko do końca roku ważności roszczeń to pomoc urzędnikom w grze na zwłokę. Czy nie warto się zainteresować tym, w czym to leży interesie? Działki są. Dowód — próba organizowania przetargów.

Kiedyś moi rodzice najpierw bali się o cokolwiek dopominać, potem byli zbywani. Teraz ja, wraz z rodzeństwem, czekam na czyjąś łaskę! Dlaczego nie ma spisu działek z funduszu ziemi na każdym terenie, abyśmy nie musieli pisać podań po całej Polsce. Moi rodzice zmarli, wspominając z rozpaczą to, co musieli zostawić, a co było wynikiem ich ciężkiej pracy. My, dzieci, żyliśmy u ich boku i chyba mamy prawo żądać zadośćuczynienia.

W imieniu takich, jak ja, oczekuję rychłego i sprawiedliwego zakończenia sprawy”.

Skąd takie gwałtowne reakcje? Ano stąd, że autorzy redakcyjnych pouczeń nie wspominają o trudnościach, jakie piętrzą się przed zainteresowanymi. Przeciwnie, ich wypowiedzi sugerują, że uzyskanie rekompensaty jest w istocie sprawą łatwą. Wystarczy dopełnić pewnych formalności i zostanie się właścicielem domu, mieszkania bądź działki. Niestety, wizyty w organach administracji państwowej odbierają złudzenia nie tylko co do szybkiego załatwienia sprawy, ale załatwienia jej w ogóle. W czym zatem tkwi problem? Tkwi on w obowiązującym ustawodawstwie, które — wbrew potocznym opiniom — nie przewiduje de facto dla expatriantów i ich spadkobierców żadnych odszkodowań finansowych ani obowiązkowych rekompensat materialnych za mienie pozostawione na Wschodzie. Powoływany często przepis art. 88 ust. 1 ustawy z dnia 29 IV 1985 r. o gospodarce gruntami i wywłaszczeniu nieruchomości (tekst jednolity Dz.U. nr 14 z 1989 r.) —

będący główną podstawą roszczeń stanowi, iż: „Na pokrycie opłat za użytkowanie wieczyste lub ceny sprzedaży działki budowlanej oraz ceny sprzedaży położonych na niej domów, budynków lub lokali osobom, które w związku z wojną rozpoczętą w 1939 r. pozostawiły majątek nieruchomy na terenach nie wchodzących w skład obecnego obszaru państwa, a które na mocy umów międzynarodowych zawartych przez państwo mają otrzymać ekwiwalent za mienie pozostawione za granicą, zalicza się wartość mienia nieruchomego pozostawionego za granicą”.

Swoista stylistyka tego tekstu nie powinna przysłaniać jego wewnętrznej sprzeczności, komplikującej podstawę roszczeń expatriantów. Z jednej strony przepis głosi, że osoby, które pozostawiły majątek nieruchomy na terenach nie wchodzących w skład obecnego obszaru państwa, mają na mocy umów międzynarodowych otrzymać ekwiwalent za mienie pozostawione za granicą, a więc odszkodowanie materialne. Z drugiej strony przepis ten stanowi, że osobom tym zalicza się wartość pozostawionego mienia na poczet ceny nieruchomości, użytkowanej wieczystie bądź kupionej od państwa. Jak więc jest naprawdę? Czy zainteresowane osoby powinny otrzymać nieruchomości z tytułu rekompensaty czy kupić? Jest to różnica istotna, albowiem z prawnego punktu widzenia ekwiwalent jako odpowiednik odszkodowania można tylko otrzymać, a nigdy kupić. W takiej sytuacji państwo nie mogło by się uchylać od obowiązku wydania ekwiwalentu, jak czynione to jest nagminnie. Jeśli natomiast coś się kupuje — obojętnie czy za gotówkę, czy wskutek dokonanych zarachowań — to nie ma to nic wspólnego z odszkodowaniem. Artykuł 88 ust. 1 w/w ustawy wyraźnie nie odróżnia odszkodowań od umów — sprzedaży, miesząc skutki tych instytucji prawnych. Równocześnie przepis ten zbyt eksponuje formę zapłaty, jaką jest zaliczenie (zarachowanie) wartości mienia, nie mając żadnego merytorycznego znaczenia w sprawie. Innymi słowy art. 88 ust. 1 przywiązuje większe znaczenie do formalnej strony transakcji niż do jej istoty, jaką powinna być rekompensata. W rezultacie osoby zainteresowane są zwodzone w załatwianiu sprawy, karmione obietnicami bez żadnej odpowiedzialności urzędników, w których gestii sprawy te się znajdują.

Nasuwa się pytanie, dlaczego doszło do takiego pomieszania pojęć? Odpowiedź jest łatwa, ale wymaga wyjaśnienia w aspekcie historycznym. Otóż pierwsze uregulowania dotyczące rekompensat znajdujemy w art. 9 ust. 1 dekretu z 6 XII 1946 r. o przekazaniu przez państwo mienia nierolniczego na obszarze Ziemi Odzyskanych i b. Wolnego Miasta Gdańska (Dz.U. nr 71 poz. 389). Jego brzmienie było następujące:

„Osobom, które w związku z wojną rozpoczętą we wrześniu 1939 r. pozostawiły mienie nieruchome na tych terenach Rzeczypospolitej Polskiej w jej granicach przedwojennych, które nie weszły w skład obecnego obszaru Państwa, jeżeli osoby te stałe zamieszkiwały na tych terenach przed 1 września 1939 r., jak również osobom, które na mocy umów międzynarodowych zawartych przez Państwo Polskie mają otrzymać ekwiwalent w zamian za mienie pozostawione za granicą — zarachowuje się na pokrycie ceny nabycia lub czynszu dzierżawnego za mienie przekazane im w trybie przepisów niniejszego dekretu wartość pozostawionego mienia nieruchomego”.